Nr. 9. Lwów, dnia 20. Marca 1888 r. Rok I.




# WIECZORY ZIMOWE

Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i S-ki

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

## Słowo do Czytelników.

Skończyliśmy pierwszy kwartał. Wprawdzie nie jest to jeszcze wiele, sądzimy jednak, że i z tych dziewięciu numerów, które Szanowni Czytelnicy mają już w ręku, mogą sobie wyrobić jasne pojęcie o naszem piśmie i jego kierunkach. Bezustanny rozwój będzie odtąd naszem hasłem. Po ukończeniu ***„Dwóch obozów“*** rozpoczniemy druk najnowszej powieści Wernerowej, ***„Czarodziejka z Alp“*** od której otrzymaliśmy prawo przekładu, później zaś ogłosimy zapowiedzianą powieść Choińskiego ***„Narwańcy“*** i ***„W piekle galicyjskiem“***.

Chociaż mimo ogólnej biedy i stagnacji, na obojętność publiczności nie możemy się poskarżyć, byt bowiem ***„Wieczorów zimowych“ jest zapewniony i ustalony***, jednakowoż prosimy uprzejmie każdego z naszych Czytelników, by starał się pozyskać choć jednego przedpłaciciela, co przy dobrej woli będzie rzeczą bardzo łatwą, a gdy to nastąpi, pismo nasze ***bez podwyższania przedpłaty znacznie powiększymy.*** Zapasów z ubiegłego kwartału mamy tylko **90 egzemplarzy.** Kto więc chce mieć komplet naszego pisma, niech się spieszy, gdyż lada dzień będzie ono całkiem wyczerpane.

Ze zbliżającym się nowym kwartałem upraszamy o odnowienie prenumeraty, która wynosi 1 złr 50 cnt (3 marki) kwartalnie, do końca zaś roku 4 złr. 50 ct. (9 marek.)

☛ Dawni prenumeratorowie ***„Kwiatów“***, którzy na to pismo złożyli byli swego czasu przedpłatę kwartalną, a ***„Wieczory“*** dotąd bezpłatnie otrzymywali, raczą także prenumeratę odnowić.

Ponieważ nie chcemy się nikomu narzucać, przeto numer następny tylko ci otrzymają, którzy do dnia 1-go Kwietnia wniosą przedpłatę. Prenumeratę prosimy przysyłać do „Księgarni Polskiej“ we Lwowie.

***Wydawca.***

# W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

**JÓZEFA ROGOSZA.**

(Ciąg dalszy.)

## XII

Henryk, z żoną do Trzcińca przyjechawszy, był zdrów, wesół, szczęśliwy. O kłopotach finansowych więcej nie myślał, zwłaszcza, że posag żony mógł mu wielce dopomódz, za to po dniach całych nią się tylko zajmował, aby w nowem gniazdeczku także czuła się szczęśliwą. Troskliwość jego była tem bardziej konieczna, że piękna małżonka ujrzawszy się w nowych warunkach, była jakby przestraszona. Spodziewała się okolicy wesołej, pełnej przyjemnych sąsiadów, tymczasem znalazła się wśród niemców, z którymi choćby już dla tego nie mogła się widywać, że jako ukrainka, nie umiała ani słowa po niemiecku, oni zaś nie mówili po francuzku, chyba z malemi wyjątkami. Ziemia wydawała jej się tu uboga, lud zanadto zuchwały, kraina cała zimna i smutna. Mąż, na śmierć w niej zakochany, aby jej to rozczarowanie czem wynagrodzić, spełniał każdą jej zachciankę. Sprawił nowy ekwipaż, kupił parę pięknych koni, zmienił meble w kilku pokojach, obił świeżemi tapetami jej sypialnię i buduar, starą kucharkę, która służyła jeszcze za nieboszczki jego matki, zrobił dozorczynią drobiu, na jej zaś miejsce przyjął doskonałego kucharza, słowem nie zaniedbał żadnej rzeczy, o której tylko przypuszczał, że nią żonie przyjemność sprawi. Ona

przyjmowała wszystko łaskawie, jak królowa, gdy jej wierny poddany, u nóg dary składa, często uśmiechem mu dziękowała, a czasem pocałowała go nawet w czoło. Tego, by była niezadowoloną, nigdy nie powiedziała, wszakże on domyślał się z jej ruchów, spojrzeń, uśmiechów, że przed nim coś ukrywała. Serce prawdziwie kochające, dostrzeże zawsze obłok na czole ukochanem. Jeśli ją kiedy pytał, czemu nie jest wesoła, zawsze jednakowo odpowiadała:

— Ja, mój Henryku, już z natury jestem więcej poważna... Zresztą znalazłam się w świecie mi obcym, więc nie powinieneś się dziwić, że mi trochę nieswojsko. Mam jednak nadzieję, że się przyzwyczaję.

Kiedy indziej, chodząc po ogródku, mówiła nie raz jakby do siebie:

— Boże! czy jest na świecie kraj zimniejszy i nudniejszy od tej Wielkopolski!

Więc jej się nie podobał ten zakątek. Czyż mąż mógł na to poradzić? Choć więc bolał nad tem, chętnie bowiem, by ją rozweselić, sięgnął by dla niej nawet do nieba po gwiazdkę, musiał czekać póki by się nie przyzwyczaiła.

Niezadowolenie żony, pociągnęło za sobą, prócz przykrości moralnej, jaką to mężowi sprawiało, także straty materjalne. Znaczna część jej posagu poszła na zmiany, których pragnęła. Zresztą okazało się, że zamiast trzydziestu tysięcy rubli, wniosła mu tylko dwadzieścia tysięcy, matka jej bowiem „myśląc“ o wyprawie córki, wydała na nią dziesięć tysięcy z jej własnych pieniędzy, ze swoich ofiarowała ledwie trzysta talarów na garnitur złoty, który jej wręczyła przy narzeczonym, wśród błogosławieństw, łez i uścisków. Wydatki na samym wstępie w Trzcińcu poczynione, były tak wielkie, że mąż musiał nawet wytynkowanie domu na później odłożyć, pozostałe zaś pieniądze obrócił natychmiast na rzeczy nierównie potrzebniejsze.

Pani Klementyna bawiła ciągle na Ukrainie, zkąd regularnie co tydzień przychodził list pełen uniesień i wykrzykników. Z początku wspominała, że na wiosnę wybiera się ich odwidzieć, wszakże później obietnice te przycichły; w karnawale listy zrobiły się już tak rzadkie, że przez dwa miesiące ledwie dwa się pokazały. Prócz tego każdy był znacznie krótszy i zimniejszy niż poprzednie.

W pół roku po pobraniu się państwa Milińskich, przyjechała do nich niespodziewanie Antosia, w towarzystwie panny służącej, która jednak zaraz na Ukrainę wróciła. Ona to przywiozła wiadomość, którą zresztą potwierdził także list matki, że pani Klementyna, mimo lat czterdziestu czterech, postanowiła oddać serce, rękę i majątek hr. Spirydjonowi, obywatelowi z Galicji, którego poznała na balu u jednego z magnatów ukraińskich. Rzecz naturalna, że w tym liście, acz bardzo długim, nie było już tyle co dawniej czułości dla Eleonory i jej męża; za to był on przepełniony wykrzyknikami na cześć narzeczonego, który wyglądał jak Apollo, tańcował jak baletnik, był bogaty jak Krezus, a mówił po francuzku lepiej niż paryżanin. Ten ostatni przymiot w hr. Spirydjonie, musiał w niej największe zrobić wrażenie, skoro po kilkakroć do niego wracała, kładąc nań zawsze nacisk szczególny.

Chociaż ta nowina, nie sprawiła nikomu przyjemności, przyjęli ją jednak bez szemrania, jak prawdziwy dopust boży, a nawet w dzień ślubu wysłali na Ukrainę depeszę z gratulacjami. W dni kilka, pani Klementyna dziękując za nie na czterech stronicach różowego papieru, przesiąkniętego wonią paczali, zapewniała, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie, ponieważ mąż ją ubóstwia a ona go uwielbia. Między innemi, były tam i takie zwroty:

„Nie macie nawet wyobrażenia, moje Dzieci najdroższe, jaki to człowiek grzeczny! uprzejmy! delikatny! Zaiste! każda kobieta na świecie, musiałaby go wielbić. To ideał mężczyzny, to prawdziwy rycerz wieków średnich! O! jak szczęśliwa się czuję, żem znalazła takiego przyjaciela! obrońcę! męża! Jak podniosłe jest jego serce i jak delikatne ma uczucia, o tem już to jedno was przekona, że gdy pierwszy raz po ślubie, usłyszał mój głos przy fortepianie, śpiewałem wtedy *Il Baccio* — Ela pewnie cię nie raz, Henryku, tym walcem czaruje! otóż gdy go usłyszał, padł na kolana i wymógł na mnie słowo, że będę codzień śpiewała, ponieważ chce mnie ciągle słuchać i uwielbiać. Ach! jaki on miły! jaki podniosły! zdaje mi się, że w zimie będę jeszcze brała lekcje śpiewu, w ostatnich latach bowiem, z miłości dla ciebie, droga Elciu! z dawnej metody wiele się już zapomniało, trzeba to więc teraz powetować, aby mój drogi Spirydjon, był ze mnie tak dumny, jak ja z niego jestem. Za dni kilka puścimy się trochę świat. Pierwszym naszym etapem będzie prawdopodobnie Wiedeń, drugim Paryż, na zimę skoczymy do Florencji i Rzymu. Przecie nie sposób lepiej spędzić *les mois de miel.* Co się później z nami stanie, tego nawet się nie domyślam, wszystko bowiem zależy od woli mego męża i pana! Bardzo być może, że w tej wędrówce i do was wpadniemy, lecz czy rzeczywiście to nastąpi, tego jeszcze nie wiem, bo przecie teraz nie rozporządzam ani moim czasem, ani moją osobą! O! jak słodka jest taka niewola, jak rozkosznie dźwigać takie kajdany! Antonina musi być prawdopobnie uszczęśliwiona, że się między wami znajduje i ja to uważam u niej za rzecz naturalną. Kto tak, jak ona, nie ma przywiązania do matki, ten zawsze z radością jej towarzystwo porzuca! Przekona się jednak kiedyś, gdy już tej matki nie będzie, co w niej straciła. Ale teraz żegnam was moje dziatki, bo właśnie Spirydjon wchodzi. Jedziemy z pierwszą wizytą do hrabiny Amalji, będę miała suknię aksamitną; jutro zaś na herbacie u księżnej Kalikstowej wy-

stąpię w pysznej sukni z francuzkiego kaszmiru, ubieranej atłasem, którą mi mój drogi Spirydjon prosto z Paryża sprowadził. Jaki on ma gust! A jak ślicznie pisze po francuzku! Istotnie, to coś zachwycającego! *Adieu* moje Dziatki, *adieu*, bo się spieszę!“

Henryk, list ten przeczytawszy, żadnej nad nim nie zrobił uwagi, tylko do Antosi się zwracając zapytał:

— Czy zaszło co między wami?

— Ja nic nie wiem — odrzekła, ramionami wzruszając. — Mama ma zawsze do mnie jakąś pretensję, lecz za co, tego się nawet nie domyślam.

Henryk wzruszył także ramionami, oddał list żonie i ust więcej nie otworzywszy, wyszedł z pokoju.

Odtąd Antosia stale u nich mieszkała

Pani Klementyna ciągle podróżowała. W zimie była zwykle w Paryżu; na koniec karnawału i święta Wielkanocne zjeżdżała do Rzymu, aby otrzymać błogosławieństwo, udzielane przez papieża *urbi et orbi*; przed upałami letniemi, które jej wielką przykrość sprawiały, uciekała nad Ren lub do Szwajcarji; czasem dla męża, który, jak to z jej listów wypływało, nie musiał być całkiem zdrów, zaglądała do sławniejszych wód zagranicznych; słoty jesienne, tak przykre w Europie środkowej, wypędzały ją do Nicei; pierwsze zaś promienie słońca wiosennego zastawały ją najczęściej w Pau lub na wyspach Hysières. Chociaż przez sześć lat, mimo częstych obietnic, do Wielkopolski ani razu nie wstąpiła, nie było jednak można za to na nią się gniewać, drogi bowiem, których się trzymała, prowadziły zawsze na zachód, gdzie i klimat jest zdrowszy i życie przyjemniejsze. Zresztą usprawiedliwiała ją także zawisłość od męża, którego ani na chwilę nie przestała uwielbiać. Ten zaś, o ile się zdawało, z zasady unikał krajów wschodnich i północnych.

W ciągu tych lat kilku, w Trzcińcu przyszło na świat troje dzieci. Najpierw dziewczynka, potem chłopczyk, Staś, nakoniec przed rokiem urodziła się druga dziewczynka, Sabina. Babka, każdą wiadomość o przyjściu na świat nowego potomka, przyjmowała w pierwszej chwili bardzo dobrze i w listach swoich unosiła się nad temi cudownemi aniołkami, które muszą być i miłe i piękne i rozumne, skoro pochodzą z rodziców, posiadających wszystkie te przymioty. W następnych jednak listach mniej już było uniesień, za to sporo zaklęć i modłów do Boga wznoszonych, aby najdroższą jej córkę uchronił od dalszego potomstwa, ponieważ dzieci rzadko kiedy rodzicom prawdziwą przyjemność sprawiają. „Tylko dwie jesteście—dalej pisała — a jednak nie dałybyście nawet wiary, ilem z wami miała kłopotów. Dużo dzieci to nieszczęście.“

Henryk przeczytawszy te słowa, rzucił list na stół, mówiąc:

— Bądź tak dobra, Eleonoro i napisz matce, że bardzo jej będę wdzięczny, jeżeli w swojej korespondencji przestanie się zajmować mojemi stosunkami.

Żona spojrzała na męża, usta zesznurowała, ale nic nie odrzekła.

Pani Klementyna, po przyjściu na świat każdego nowego wnuczęcia, przysyłała mu natychmiast jedwabny szkaplerz w Rzymie poświęcany, do którego dołączała list długi i entuzjastyczny. W liście tu i ówdzie pojedyńcze słowa były zawsze jakby zatarte. Ślady to były łez obfitych a gorących, co wśród pisania na papier padały..

Podczas gdy w Trzcińcu dzieci się rodziły, u szczęśliwej małżonki hr. Spyrydjona rok rocznie przybywały nowe pieski, o których pani Klementyna rozpisywała się długo i szeroko, unosząc się nad ich wdziękami i rozumem. Najpierw od jakiegoś anglika we Florencji, dostała *Laluńcię*, suczynkę czystej rasy *kingcharle*, z włosem międziutkim, delikatnym jak jedwab, z ogonkiem niezrównanej piękności, z tak rozumną, że każdą jej myśl zgadywała. W rok później, w sam dzień jej imienin, mąż przyniósł jej w upominku *Fipcia*, pieska meksykańskiego, bez włosa, a tylko z czubkiem na głowie, stworzeńko nadzwyczaj miłe i dowcipne, którego skóra w lecie się opalała. W rok później przyszedł list, a w nim następujący wykrzyknik: „Nareszcie po trzech latach doczekałam się progenitury! Moja śliczna *Laluńcia* ma cudownego pieska, *Pinia !*“

— Czy twoja matka jest starą panną, że się tak psami otacza? — zapytał Henryk, do żony się zwracając.

— Nie dziw jej się — odrzekła. — Gdy się nudzimy, miłe nam jest każde stworzenie.

— Nudzi się, ona? A wszak po świecie ciągle jeździ i ma męża, którego uwielbia. Prócz tego ma także córki.

— Nie ma nas przy sobie.

— Ale myślami powinna być przy was.

Żona uśmiechnęła się w sposób szczególny i usta lekko wydymając, odrzekła tonem jakby pogardliwym:

— Nie każdy, mój Henryku, ma tak bujną fantazję, iżby myślami mógł się aż o setki mil przenosić.

— Tak? — mąż przeciągle zapytał.

Żona nic już na to nie odpowiedziała, tylko schowawszy list matki do kieszeni, odeszła do drugiego pokoju.

Przed rokiem pani Klementyna bawiła najdłużej w Nicei, zkąd do Monaco musiała często robić wycieczki, skoro aż na trzech jej listach była pieczęć pocztowa tej miejscowości. Pod wiosnę listy robiły się krótsze, za to pełno w nich

było zwrotów rozpaczliwych, ponieważ najdroższy Spirydjon zapadł ciężko na zdrowiu; nakoniec do Trzcińca przyszedł jej bilet wizytowy z koroną hrabiowską i szeroką czarną obwódką, bez koperty, a tylko z marką pocztową, na którego stronie odwrotnej znajdowały się te słowa:

„Nie ma mego męża! przyjaciela! anioła opiekuńczego! Umarł dziś rano! niestety! niestety! Jestem nieszczęśliwa! niepocieszona! bom została sama jedna! O! Boże! czemużeś dopuścił, bym go przeżyła! Módlcie się za mną moje Dzieci drogie! bom bardzo! bardzo strapiona! Wasza biedna Matka“

Pani Eleonora, odebrawszy ten bilet, przybiegła do męża zaniepokojona i blada

— Henryku, czytaj! — zawołała.

Przeczytał lecz zamiast zmartwić się, jak się tego spodziewała, uśmiechnął się nieznacznie.

— Henryku! cóż ty na to?

— Właśnie myślę, czy twoja matka wybierze się jeszcze trzeci raz za mąż.

— Henryku! jak można o czemś podobnem myśleć, w chwili tak tragicznej! Zamiast żartować, powinien byś raczej natychmiast zebrać się i do niej pojechać, bo przecie jest sama, jak palec! Zresztą moglibyśmy nawet oboje pojechać, Antosia całkiem by mnie tu zastąpiła... Przy tej sposobności odetchnęłabym innem powietrzem i rozerwałabym się trochę po tych nudach nieznośnych. Już tak dawno, jakem po za Trzcińcem nogą nie była.

— Bardzo mi przykro, moja żono, że ci tej przyjemności muszę odmówić, ale nasze środki na to nie pozwalają. Zresztą trudno dzieci i dom cały zostawiać na głowie jednej Antosi.

— O! ja wiem, że dla mnie nigdy nic nie ma — odrzekła z gorzkim uśmiechem. — Lecz skoro oboje nie możemy jechać, to przynajmniej ty sam powinienbyś się do niej wybrać.

— I tego nie uczynię, moja droga, bo to uważam za zbyteczne. Z listów twojej matki, a odebraliśmy ich w ciągu tych pięciu lat, najmniej sto, o tyle poznałem już jej charakter, że wypadek, który ją spotkał, bynajmniej mnie teraz nie niepokoi. Popłacze godzinę, dwie najwięcej, ale ręczę że nawet apetytu nie straci. Gorzej by było, gdyby jej położenie materjalne złe się teraz okazało, a łatwo to być może, bo kto żyje tak nieopatrznie, jak ona, ten najczęściej wszystko traci, lecz choćby i tak było, jabym na to nie poradził, gdyż i mnie ciężko. Zostawmy ją więc Eleonoro w pokoju, a przekonasz się, że z boleści nietylko nie umrze, nawet jak powiedziałem, apetytu nie straci.

Żona wysłuchała tych słów z oburzeniem, wszelako do kilku tygodni, jeśli już nie głośno, to przynajmniej w duchu musiała przyznać, że Henryk nie był złym prorokiem.

Najpierw przyszedł list od matki, w którym szczegółowo opisywała pogrzeb, jak ślicznie jej nieboszczyk wyglądał, z miłości bowiem dla niego sama go ubierala, ile i jakie osoby były aż na cmentarzu; prócz wielu polaków, w Nicei przebywających, był także ambasador włoski przy rządzie francuskim i kilku lordów angielskich; potem malowała żywo swoją boleść, jak łzy całą ją zalewały, nawet teraz, gdy to pisze, od płaczu nie może się wstrzymać (na papierze były w rzeczy samej liczne łez ślady) na końcu zaś donosiła, że za kilka tygodni wraca na Ukrainę by uporządkować swoje sprawy majątkowe.

W drugim liście, ten przyszedł już z Ukrainy, dosyć jeszcze było o nieboszczyku, o jego delikatności i cnotach, w trzecim ledwie mimochodem o nim wspomniała, czwarty już w całości poświęciła tylko swojej osobie. Z niego dowiedzieli się mieszkańcy Trzcińca, że najnieszczęśliwszą istotą na ziemi jest wdowa, której nikt nie żałuje, gdyż wszyscy przemyśliwają jakby ją skrzywdzić. W listach dalszych coraz więcej było skarg na ludzi i ubolewań nad sobą, lecz obok tego mieściło się w nich także sporo serdeczności dla córki i zięcia. W każdym z następnych potęgowała się ta serdeczność; okrzyków, komplementów i uniesień było już w nich więcej niż wierszy, a gdy wreszcie gorąca miłość dla dzieci, jej serce macierzyńskie po brzegi wypełniła, doniosła z zapałem, że już wkrótce do Trzcińca przyjedzie, bo bez Eleonory, jej męża i swoich wnucząt dłużej żyć nie może. Przy końcu listu był tym razem nawet przypisek, że Antosię także ściska serdecznie.

Pani Eleonora bardzo się tą wiadomością ucieszyła, tak samo Antosia Odtąd dzieciom co chwila powtarzały, że babcia przyjedzie, służbie zaś wdrażały w pamięć, że pani hrabina, mimo serca bardzo dobrego, jest osobą trochę niecierpliwą, należy przeto spełniać szybko każde jej polecenie, by nie potrzebowała się uskarżać.

Dzieci, mimo iż wiedziały, że gdzieś tam jakaś babcia istnieje, słuchały teraz opowiadania o niej jak o wilku żelaznym, i to jedno, to drugie co chwila pytało, jak ta babcia wygląda i po co właściwie ona tu przyjedzie. Służba nie tyle była zaintrygowana, ile zaniepokojona, garderobiana bowiem, która pannę Antoninę przywiozła do Trzcińca, lubo iż tylko trzy dni tu zabawiła, tyle przez ten czas różnych rzeczy naopowiadała się im o pani hrabinie, że sługi teraz szeptały coś po kątach, a ilekroć przyszedł listonosz, zaraz pannę Antoninę zapytywały, czy „nieszczęście“ jest jeszcze daleko.

Nie bardzo uradowanym był także p. Miliński. Wszakże ten nic nie mówił, tylko cierpliwie czekał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA
WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Odpowiedział jej cierpko:

— To tego ranka zapomniałem się pani, kiedy dla twoich pięknych oczu zdecydowałem się wycierać przedpokój u tego niby to wielkiego człowieka, ja, który jednakowo nienawidzę wielkich ludzi, jak i wszelkich przedpokojów... I wtedy również zapomniałem się, kiedym się zniżył do próśb najusilniejszych, byle zmiękczyć i ułagodzić jednego z pani najtwardszych wierzycieli...

— Moi wierzyciele i dalej, wszystko wyrecytuj pan po porządku — bąknęła rozdrażniona — wszystko to zapisane w pańskiej księdze, a teraz przedstawiasz mi rachunek... Czuć cię nadto handlarzem, panie Cantarel!

Chciał się już obrazić i rozgniewać na serjo. Ona jednak pomiarkowała, iż uniosła się może zbytecznie; natychmiast zmieniła ton i wyraz fizjonomji, spuściła skromnie oczy, rumieniąc się jak pensjonarka i szepnęła czule:

— Nie potrafię atoli rozgniewać się na dobre... Oh! mój sąsiedzie, jakiż z pana człowiek niebezpieczny!

Tych kilka słów wystarczyło, aby rozprószyć groźną chmurę gromadzącą się pomiędzy dwiema brwiami krzaczystemi. Być poczytywanym za niebezpiecznego przez rząd i przez kobiety, uważał on za szczyt ludzkiej szczęśliwości. Odzyskał dobry humor, zaczął nawijać na palce i gładzić z uśmiechem zadowolenia odstające bokobrody. Następnie spojrzał na margrabinę, na poły czule, a na poły drwiąco, dzwoniąc w dłoni grubym łańcuchem złotym i brelokami przy zegarku. Zdawał się mówić: Oto, ileśmy warci!

— Mój Boże! — mówiła dalej — gdybym mogła się zdecydować i uległa słabostce, gdybym w moim wieku przystała na podkopanie mojej dobrej sławy, która przetrwała, nietknięta, czasy cesarstwa...

Był na tyle śmiałym, roześmiać się w głos i wpaść jej w słowo:

— Zaręczają jednak, iż..

— Pan zatem wierzysz w głupie plotki?

— Eh! kochana margrabino, to było tajemnicą polichinella, całej Francji, całego świata!

— Świat, Francja i polichinelle dodają zawsze dziesięć razy więcej niż jest rzeczywiście.

— Koniec końców — jęknął tonem żałośnym — jaką przyjemność znajdujesz pani w dręczeniu biednego człowieka, w przypiekaniu go na wolnym ogniu i w przedłużaniu wieczystem jego mąk piekielnych? Powiedz pani, z jakich powodów tak mnię mordujesz?

— Z bardzo wielu i bardzo rozumnych! Najprzód, nie wierzę w pańską miłość... Nie krzycz pan i nie protestuj, czysta próżność, mój drogi przyjacielu! Powiedziałeś sobie, iż będę twoją pierwszą margrabiną. Tamta umarła, po której zamek odziedziczyłeś, co zaś wart zamek bez margrabiny? Ach! gdybyś mógł wskrzesić i razem z zamkiem posiąść panią de Pompadour, pewnie byś o mnie ani pomyślał! Gniewaj się pan, nie gniewaj, ale tak jest. Wiesz jednak, iż kobieta wdająca się w polemikę, jest bliską kapitulowania. Eh! może bym się i poddała nareszcie, gdybym się nie bała, iż pan nie będziesz dość dyskretnym, że w szczęściu będziesz nadto głośnym... Lubisz wszystko roztrąbiać, o ile mi się zdaje, panie Cantarel?

— Ja bym miał roztrąbiać cokolwiek?! Ależ zaręczam...

— Ja zaś panu zaręczam najsolenniej — przerwała — żem stara baba po prostu. Ach! gdybyś wiedział mój przyjacielu, do jakiego stopnia jestem rozczarowana, wytrzeźwiona, uleczona ze wszystkiego!.. Jestem li matką; oh! ale w tem uczuciu, jestem lwicą... Zresztą... któż wie, gdybym się pozbyła kłopotów macierzyńskich, gdyby moje drogie dziecię...

— Mówię pani przecież, iż wielki człowiek dał mi słowo.

— Nie koniec jeszcze na tem miejscu podsekretarza. To małżeństwo, to świetne małżeństwo?..

— A czyż nie masz pani mojego przyrzeczenia?

— Jeżeliby jednak nasza panienka zgrymasiła?

— Jeszcze czego by brakowało! Radbym to widzieć!— rozparł się w fotelu i nogi rozkraczył. — Czy pani mnie masz za opiekuna z pierwszej lepszej farsy? Nie ma zresztą o czem i mówić! Dla czego by nie miała zechcieć? Ręczę pani, iż na samą myśl zostania margrabiną, mało jej serduszko nie wyskoczy z nadmiaru radości.

— A nie lękasz się pan jej skrupułów, matki Amelji?

— Niech tylko spróbuje stroić fochy, nauczę ja ją rozumu!... Dajmy temu pokój! nie kłopoczmy się daremnie, nie odważy się odmówić. Mniej ma skrupułów i więcej ze wszystkiem oswojona, niż by kto z nas przypuścił. Codziennie wysusza kieliszki, aż miło, z mojego *Chateau-Yquem* i smakuje jej coraz bardziej. Ot! tu kiedyś, pokazałem jej moje Fragonardy. Czy myślisz pani, że się bodaj zarumieniła?. Broń Boże!... Powtarzam, że do pani należy uważaj to małżeństwo za rzecz skończoną.

Weszli tymczasem do kiosku.

— Margrabino kochana! — zażartował p. Cantarel — handlarzem byłem i handlarzem zostanę. Według mnie w epoce obecnej, najbezpieczniej wszelkie sprawy, nawet sercowe, traktować jako interes Zróbmy więc układ między sobą i przysięgnij mi pani, że w dniu, w którym syn twój poślubi moją pupilkę...

— Ani o jeden dzień wcześniej — żywo wykrzyknęła.

— Ale, ani o jeden dzień później — i on zawołał padając na kolana i szukając jej ręki do ucałowania.

— Ah! wielki Boże! wstań że pan!— perswadowała.— Pan w tej postawie... z pańskiemi przekonaniami, zasadami,

— Stać ostro w obec tyrana, klęczeć przed kobietami! oto moja dewiza i postanowiłem sobie nie wstać, póki mi pani nie przyrzekniesz.

— Wszystko co pan zechcesz! — przestraszyła się naprawdę — ale stojący.

Usłyszała szelest kroków i adonis rozkochany od lat dwóch, a od dwóch dni liczący okrągło lat sześćdziesiąt, usłyszał je również. Na nieszczęście jego tusza i futro, utrudniały nie lada zadanie. Jeszcze nie zdołał powstać, gdy Jetta stanęła u wejścia. Nie złapała ani jednego słowa miała atoli oczy do patrzenia.

— Ah! moja droga, zjawiasz się w samą porę—margrabina ucałowała ją serdecznie. — Pomóż twojemu opiekunowi w odszukaniu perły, która mi wypadła z bransolety.

Naiwna Jetta wzięła się szczerze do szukania perły, ale mimo wzroku doskonałego nie mogła jej znaleźć.

W tej chwili Lara wysunął się z krzaków; zawsze właził tam gdzie go najmniej było potrzeba.

— Ba! nie trudź się Jetto — margrabina ręką machnęła. — Zostaw to temu dzieciakowi, który ma oczy bystre jak u kota.

Spróbowała zwrócić rozmowę na tory obojętne; rwała się jednak co chwila. Stanąwszy wreszcie na nogi, pan Cantarel, razem z perłą, zgubił i swój dobry humor. Był ponury i marszczył groźnie czoło. Wkrótce pożegnał się, aby wrócić do siebie, w towarzystwie Jetty. Nadaremnie kazała mu podziwiać olbrzymią tarczę słoneczną, barwy purpurowej, która zwolna za góry zapadała.

— Wielka pieczątka z laku! — wzruszył pogardliwie ramionami — jest się też czem zachwycać!

W czasie objadu nie dawał jej spokoju, dogadywał tonem cierpkim, drażnił ustawicznie. Wziął sobie dnia tego za zadanie odkryć przed nią niecne intrygi i straszliwe tajemnice „czarnych zastępów“. Między pierwszem daniem a deserem pożarł z dziesięć zakonnic i ze dwudziestu proboszczów. Krótko mówiąc wywnioskował, że trzeba raz skończyć z tymi ludźmi, inaczej przepadną dobre obyczaje, nietykalność rodziny, świętość związków małżeńskich, moralność publiczna i prywatna.

Pani Cantarel zdawała się nic nie słyszeć. Gdy jednak znalazła się sam na sam z Jettą w salonie, w chwili drzemki, w którą już zapadała, zbudziła się nagle.

— Coś zrobiła moja droga twojemu opiekunowi, że cię tak zmordował? — spytała podnosząc leniwo powieki zaspane.

Dodała natychmiast, nie czekając na odpowiedź, jakby się wstydziła niewczesnej ciekawości:

— Ale, ale, czy wiesz, że zginęło na pypeć jedno z moich kurczątek? Prawdziwe nieszczęście!

## X.

Nazajutrz pannę Maulabret spotkała nielada niespodzianka. Dowiedziała się od razu, z najwyższem zdziwieniem, że pani de Moisieux posiada syna dorosłego, że ten syn spędził dwa lata w Ameryce, że stamtąd powrócił, że tego samego wieczora będzie w zamku na objedzie i że z okazji tak solennej Jetta powinna stanąć pod bronią i ubrać po raz pierwszy najpiękniejszą ze swoich nowych sukień. Pan Cantarel, który był już znowu w najlepszym humorze i raczył zapomnieć w swojej wspaniałomyślności, wszystko, czem jej wczoraj nadokuczał i nadopiekał, polecił jej usilnie wziąć suknię wyciętą.

— Pod tym li warunkiem — zażartował — przyjąłem opiekę nad tobą, że mi kiedy niekiedy pokażesz ramiona odsłonięte. Cóż to za pupilka, która wszystko chowa przed okiem opiekuna? Opiekunowie mają nietylko prawo widzieć, ale nawet mogą się dotykać. Tak zadecydowały kanony kościelne i takie jest zdanie matki Amelji.

Rozwałkowywał dalej tę kwestję. I w żartach był gburem po prostu.

Jetta postanowiła usłuchać rozkazu; w chwili stanowczej przypomniała sobie wszystkie rady, instrukcje i namowy pani de Moisieux i starała się załatwić tę sprawę jak najlepiej. Młody margrabia trochę ją niepokoił. Nie wątpiła, iż odziedziczył urok niepojęty po swojej czarownej mamie, dodając do tego minę dziarską i dumną, i ładny ciemny wąsik, podobny do tego, który zdobił usta purpurowe pana Alberta Valport. Tamtego dotąd nie mogła całkiem wymazać z pamięci.

Godzinę objadową zapowiadał niegdyś w Combard dzwon, który pękł na nieszczęście. Nowy pan zamku zastąpił dzwon, znajdując iż nie czyni dość hałasu, olbrzymiem *Tam-Tam* chińskiem. Gdy w nie uderzono, echa rozchodziły się o milę. Cała okolica powinna była wiedzieć, iż w tej chwili pan Cantarel zasiadłszy do objadu, rozkłada serwetę na tłustych kolanach. Na pierwsze uderzenie w *Tam-Tam* panna Maulabret była zupełnie gotową. Kazała się ufryzować najmodniej, nie szczędząc loków i szynionów. Nic piękniejszego nad jej suknię z *surah* barwy wiśniowej, której garnirunek bogaty, a jednak w oczy nie bijący, zaszczyt przynosił krawcowej pani de Moisieux. Na czarnej aksamitce powiesiła na piersi odsłoniętej krzyżyk z brylantów w nader misternej oprawie, jedyną pamiątkę po ojcu. Jej piękne ramiona, obnażone po raz pierwszy, zdawały się same dziwić temu wypadkowi niesłychanemu, którego jednak nie potrzebowały się wcale obawiać. Ich kształt spadzisty, kontury klasyczne i białość ćmiąca mogły tak samo wytrzymać blask słoneczny jak i światło kinkietów; mogły się li spodziewać spojrzeń pełnych uwielbienia. Jetta rzuciła okiem w zwierciadło. Spostrzegła tam nieznajomą, której nigdy przedtem nie widziała i która oddala jej nawzajem uśmiech smętny, pełen niedowierzania, na powitanie. Osłupiała na razie; trzeba jednak wyznać, iż ta nieznajoma była prześliczna, może nawet nadto ponętna, w tym właśnie wypadku.

Weszła do salonu, gdzie przed chwilą pojawiła się margrabina z synem, oboje *con fiocchi*. Jej wejście sensację wywołało. Pani de Moisieux aż w ręce plasnęła, pani Cantarel miała minę, jakby tylko co odkryła Amerykę, pan Cantarel mlasnął językiem, niby na widok smacznego półmiska. Znajdywał, iż ta piękna dziewczyna, podnosi sobą jego salon, kapiący od złota i przeładowany rozmaitszemi ozdóbkami; był rad niezmiernie, iż jest jego krewną i on może się nią popisywać. Ona jednak zaledwie spostrzegła wrażenie sprawione, tak na razie osłupiała, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. Przedstawiono jej na samym wstępie młodego margrabiego de Moisieux i ten się jej ukłonił. Był że to on naprawdę? Dyląg, niezgrabny, chwiejący się na cienkich nóżkach i najnieproporcjonalniej zbudowany, czupryna okrutna z włosem rudym i twardym jak szczecina, cera żółto-popielata, na policzkach początek trądu w skutek nadużywania trunków gorących, ślepie duże, wybałuszone, barwy bladej i zamglonej jak u zdechłej ryby, język chodzący jak w pantoflu, głos chrypliwy, jak rozbity garnek, żadnych manier, ani cieniu jakiegoś ułożenia, coś nienaturalnego, wystraszonego, wyglądanie całe, zdradzające bywalca po szynkach, który w dobrem towarzystwie nie czuje się w swoim żywiole, nie jest u siebie. Boże! cóż to był za margrabia! mógł że być synem swojej matki? Nie wiedzieć było nawet, jaki mu wiek przypisać? czy miał lat piętnaście, czy przeszło czterdzieści? Uśmiechał się głupkowato, niemal po dziecinnemu, sieć zmarszczków atoli na skroniach głęboko zarysowanych, zdradzała długą przeszłość, ząb czasu niszczący i niezliczone butelki rumu, wysączone duszkiem, skoro je odkorkowano. Trzeba przyznać, iż margrabina sama zdziwiła się witając synalka po dwóch latach. Znalazła go fatalnie zestarzałym, czemu on nie chciał wcale uwierzyć. Pocałowała go, bo i cóż miała zrobić? byłaby go jednak najchętniej udusiła!

Drzwi do sali jadalnej na oścież otworzono, p. Cantarel podał ramię margrabinie, Gaston zaś zbliżył się do

pani domu, ta jednak spojrzeniem i ruchem ręki odesłała go do Jetty. Usłuchał rozkazu, uczynił to jednak z wielką nieśmiałością i najniezgrabniej w świecie. Zdawała mu się imponować niesłychanie. Być może, iż matka, chcąc mu dodać odwagi, przedstawiła mu Jettę, jako mieszczaneczkę skromną i potulną. Tymczasem znalazł się w obec piękności odurzającej i w zakłopotaniu tracił do reszty przytomność i równowagę, tak samo, jak w wybuchach wesołości tchu mu nie stawało.

Pani Cantarel nie wysadziła się wcale z toaletą. Na głowie miała nieśmiertelną fanszetkę czarną koronkową i po wierzchu ciepły szalik wełniany, którym owijała swoje newralgje; zmieniła jedynie suknię czarną kaszmirową, mocno wytartą, na cokolwiek nowszą z czarnego jedwabiu. Na rozkaz atoli jej pana i małżonka, ną stole pojawił się przepych iście królewski. Bogatej srebrnej zastawy *en vermeil*, porcelany *Vieux Sevre*, muślinowej cienkości, ślicznych angielskich kryształów, nie byłaby się powstydziła i sama, najgrymaśniejsza pod tym względem, margrabina de Pompadour. Postawa sztywna i dumna marszałka dworu, który niósł głowę tak wysoko, jakby na niej spoczywały losy Europy, rój lokai wygalonowanych, wszystko zapowiadało uroczystość, równającą się niemal podpisywaniu małżeńskiej intercyzy.

Mało brakowało, żeby z Gastona de Moisieux, zrobił się zupełny idjota. Umysł to był ograniczony, jakiś rodzaj embria niedokończonego przez macochę przyrodę, która rzuciła w świat to biedne stworzenie, prosząc, żeby sobie samo radziło, jak będzie mogło. Ten dyląg, o cerze popielatej, był jednym z tych grubych kloców, których nikt ociosać nie potrafi.

Ojciec nazywał go zawsze niedorodą, matka oświadczała tysiąckrotnie, iż jest wprost niemożliwym. Jego to nic a nic nie obchodziło. Miał dwie namiętności szlachetne, które wystarczały, aby mu życie upiększyć i rozweselić: grał w bilard doskonale, a pił jeszcze znakomiciej. To było jego zgubą. Na czczo był niemal znośny, prawie przyzwoity i dość uważający, bo dzięki niebu, był nieśmiały; jego głupota uciekała się pod skrzydła opiekuńcze owego bóstwa, które nazywamy milczeniem. Źle jednak trawił wino, a skoro przebrał miarkę, gotów był do wszystkiego. Satyr potworny, który siedział zamknięty na dnie jego serca, wyłaził nagle z jaskini, płosząc nimfy. Pan de Moisieux, ojciec, któremu wówczas nie umiano odmawiać, kazał go zamianować *attaché* przy ambasadzie w Berlinie. Zaledwie wylądował, słysząc jakie nosi nazwisko, przysłano mu zaproszenie na bal dworski. Popełnił tam nieprzyzwoitości, nie dające się opisać. Zaraz nazajutrz musiano go sprzątnąć czemprędzej. Taką była jego świetna karjera dyplomatyczna, trwająca aż cały tydzień, którą pani de Moisieux radaby była nawiązać na nowo za pośrednictwem i wpływem pana Cantarel.

Obiad dany ku jego uczczeniu, odpowiadał we wszystkich szczegółach pysznej zastawie; rozwinął też podczas dań rozmaitych, iście lukullusowych, apetyt Gargantuy i jakiś czas trzymał się nie źle. Wytresowany w domu przez matkę, uważał na siebie, odpowiadał nader krótko; jego „tak“ lub „nie“, w niczem go nie kompromitowały. Pan Cantarel na nieszczęście, zapewne aby mu dać pole do popisu, obsypywał go pytaniami. To go ośmieliło, zaczął się po trochę puszczać na awantury, zaczął opowiadać swoją Odyseję. Niestety mięszał wszystko, z niczego wybrnąć nie mógł, nie mógł sobie przypomnieć ani Bostonu, ani Cincinnati i co chwila zwracał się do panny Maulabret z zapytaniem:

— To djabelskie miejsce!... tam... tego... no! wie już pani? Jakże bo się to miejsce nazywa?

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

# NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

## POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

**KAROLA DESLYS'A.**

(Ciąg dalszy).

### X.

### Narada.

Na pierwszy rzut oka, Fitz-Gerald poznał Tankreda i wykrzyknął zdziwiony:

— Hrabia Gaillefontaine!

— Przysłany przez naszych przyjaciół z Francji — dodał *Wild-Irish*.

Lord Edward opuścił ogród natychmiast i ukazał się na progu gabinetu. W kilku słowach Tankred misję mu swoją wytłómaczył. Następnie wypruł list Hoche'a na piersiach zaszyty. Był on adresowany, jak nam wiadomo, do sir Artura O'Connor. Fitz-Gerald skoczył ku oknu, a skinąwszy na wiernego murzyna zawołał:

— Odniesiesz ten list sir Arturowi i poprosisz żeby raczył niebawem zejść do nas.

Tony natychmiast rozkaz wykonał. Wszedłszy do gabinetu, pocisnął sprężynę z prawej strony i otworzyły się małe drzwiczki w mur misternie wpuszczone, które natychmiast prawie bez szelestu za nim się zasunęły. Równocześnie w drzwiach głównych, na ogród prowadzących, Łucja stanęła.

— Oh! — zawołała energicznie — nie wymkniesz nam się tak łatwo braciszku!.. Jeszczem nie wszystko wypowiedziała i...

— Nie jesteśmy sami! — przerwał jej łagodnie ale stanowczo — a to sprawa czysto osobista.

*Wild-Irish* z Tankredem usunęli się dyskretnie w kąt przeciwległy obszernej komnaty. Edward podszedł ku nim i słów kilka głosem przyciszonym z sobą wymienili.

Łucja tymczasem sprowadziła z ogrodu matkę z dziećmi i na sofie je posadziła.

Po za tą grupą Pameli z dziatkami, stanęła Kornelja, jedną ręką opierając się o poręcz sofki.

W kwadrans niespełna, w drzwiczkach sztucznie zamaskowanych, ukazała się postać wyniosła starca siwowłosego, z wyrazem, w rysach regularnych, jakby dłutem mistrza z marmuru wykutych, który musiał w każdym cześć głęboką obudzić. Takimi byli niezawodnie dawni rycerscy królowie Irlandji, których on był potomkiem ostatnim. Był to Artur O'Connor. Trzymał w ręku Hoche'a list otwarty i tak podał go Edwardowi. Podczas gdy lord Fitz-Gerald list przebiegał oczami, *Wild-Irish* pozdrowiwszy starca z najwyższem uszanowaniem, opowiedział pobieżnie o wypadkach dni ostatnich, o rozpaczliwem położeniu w jakiem znajdują się spiskujący.

Lord Edward list odczytawszy, upadł na krzesło naj-

bliższe i jęknął boleśnie: — Hoche nie żyje! Spisek odkryty! Co czynić?

— On się jeszcze pyta! — Łucja żywo zawołała — ależ uciekać! uciekać czemprędzej, nie oglądając się poza siebie, nie tracąc jednej chwili! Ręczę że sir Artur to samo ci powie! — I ręce złożywszy jak do modlitwy, podniosła na starca wzrok błagalny.

— Miss Łucja — starzec uśmiechnął się łagodnie — pozwoli nam może, bodaj trochę zastanowić się nad sprawą tak wielkiej doniosłości?

— A więc dobrze! zastanawiajmy się i wspólnie radźmy — odpowiedziała z minką czupurną i rezolutną, z którą było jej prześlicznie do twarzy. A zwracając piękne oczy fiołkowe ku Jakóbowi: — Jack!—przemówiła słodko i pieszczotliwie—uważamy cię wszyscy za brata. Oh! ty go nie będziesz zatrzymywał, nieprawdaż?

Tankred czując się tu zbytecznym chciał się wymknąć do ogrodu. Młode dziewczątko drogę mu zastąpiło, a spojrzawszy w oczy śmiało, z tym rozkosznym i dziecięcym niemal uśmieszkiem, którym ogólnie serca podbijała:

— Panie hrabio — słodko przemówiła — widzimy się raz pierwszy w życiu, Edward jednak często mi o panu wspominał. Wiem, że jesteś jego przyjacielem wiernym i niejednokrotnie wypróbowanym. Instynkt dziwny, każe mi się spodziewać od ciebie pomocy. Idzie tu niemal, o złożenie rady familijnej; zostań więc, masz wszelkie prawo do tego.

Tankred wzruszony i zachwycony, skłonił się szarmancko.

— Przyjmuję miss rozkaz zaszczytny, ale z góry zapowiadam, iż zostaję twoim sprzymierzeńcem.

— Dzięki!—wesoło wykrzyknęła. —Ach! nie jesteśmy już same opuszczone! mamy po naszej stronie męża prawdziwego, który zna się pewno na prawach honoru. — I wdzięcznością uniesiona rączkę mu podała.

Trzej mężczyźni tymczasem na boku się między sobą po cichu naradzali. O'Connor przemówił wreszcie głośniej w tych słowach:

— Czy nie raczyłaby miss Łucja dodać więcej szczegółów i złożyć nam dowody, iż położenie spiskowych jest w rzeczy samej tak rozpaczliwem, jak ona to utrzymuje?

— Oh! to najmniejsze! — rączką machnęła. — Sir Reginald, niczego przedemną nie zataił.. Wiem tyle, co każdy z angielskich ajentów policyjnych

— A więc.. słuchamy.

— „Irlandczycy Połączeni“ mają rodzaj tajnego dyrektorjatu, złożonego z siedmiu członków, którzy zbierają się w Dublinie u kupca Tomasza Reynolds. Czy mam wymienić resztę nazwisk? Sir Artur O'Connor, lord Edward Fitz-Gerald, dwaj bracia Henryk i John Sheares, sir Addis Emmett i doktor Slovius Jumble, nie licząc Wolffa Tone ich ajenta we Francji.

Edward i sir Artur spojrzeli jeden na drugiego, przerażeni, że zdołano odkryć z najdrobniejszemi szczegółami spisku wątek cały, który oni taką tajemnicą osłaniali aż do dnia dzisiejszego.

— Ależ — krzyknął *Wild-Irish* obruszony — jakiż to szatan wcielony mógł zdradzić?

— Szatan?..— powtórzyła Kornelja z gorzkim uśmiechem. — W istocie! szatan odkrył wszystko, wyrzucony z piekła czeluści, na niedolę i pognębienie Irlandji, a wystarczy jego nazwisko, aby dać wam miarę grożącego wszystkim niebezpieczeństwa! Pułkownik Armstrong bawi od trzech dni w Dublinie.

Tankred skoczył na równe nogi.

— Podły Hoche'a morderca! — zawołał. — Oh, co do do tego, błagam o pierwszeństwo i mam w Bogu nadzieję, że moja szpada oczyści ziemię z tego potwora i uwolni od nikczemnika ludzi porządnych jakiegokolwiek mogą być wyznania politycznego.

Śliczna jego aljantka rzuciła mu spojrzenie surowe, które miało znaczyć: — Ot, byłbyś cicho i nie wyrywał się z niepotrzebną junakierją. Trzeba mówić w tym razie zupełnie inaczej.—A zwracając się do reszty skonsternowanych tą straszliwą wiadomością:—Rozumiecież nareszcie — przemówiła z coraz większem uniesieniem — pojęliście, że wszystko stracone... Opierać się, byłoby istnem szaleństwem! Nic nie zostaje, jak wsiąść na koń czemprędzej.

Brat ją ruchem ręki uspokoił.

— Jeszcze jedno pytanie—wtrącił. — Czy syn wicekróla pozwala nam uprzedzić kolegów i współdziałających?

— Ależ! — zmięszała się znowu i zwolna odzyskując równowagę rzekła:—Zdaje mi się, iż sir O'Connor już uprzedzony, a co się tyczy innych, do niczego się nie obowiązałam. Zabierzcie ich z sobą, mniejsza z tem, byle jeszcze tej nocy!... Już ja się jakoś z tej całej sprawy wykręcę przed Renigaldem. Żeby tak o co było łatwo, jak o to.

O'Connor i Edward znowu sobie w oczy spojrzeli.

— Głównych spiskowców możemy uratować — westchnął starzec -- a reszta, ale żołnierze?... Ci wszyscy biedni ludzie, złączyli się z nami, uważając nas za stróżów ich praw i ich własności! Nie będąż się za nas na nich mścili i jeszcze srożej ich uciemiężali? Czy pozwala nam honor, oddać tych nieszczęśliwych na łup wrogów okrucieństwa?...

Lord Edward zamiast wprost odpowiedzieć, zwrócił się nagle do Jakóba:

— Jack! — rzekł czule—co ty mi radzisz? Co ty sam myślisz uczynić?

— Zostaję! — podniósł z dumą głowę zapytany. — Twoje atoli postępowanie nie może stosować się do mojego. Być prześladowanym, obsaczanym i tropionym, jak zwierz dziki, takie już moje przeznaczenie, i do tego nawykłem od dawna. Mam kryjówki, znane li mnie samemu i których nikt nie zdradzi i nikt nie znajdzie. Cóż ja mam zresztą do stracenia? Kto mnie kocha? Kto po mnie zapłacze?...

Wszyscy chórem przeciw temu twierdzeniu energicznie zaprotestowali. Jedna Kornelja słowa nie wymówiła, nie ruszyła się z miejsca. Tankred jednak schwycił w przelocie spojrzenie długie, pełne boleści i srogiej gorżkiej wymówki, którem zdawała się szturmować do serca i sumienia mówiącego. Dziwić się należy, że hrabia cośkolwiek zauważył, co się nie tyczyło Łucji wyłącznie i do niej nie odnosiło. Wzrokiem ją niemal pożerał. Był zachwycony, oczarowany, tą dziwną mięszaniną dziecięcej naiwności i odwagi, tym charakterem już wyrobionym, mimo lat młodych, pełnym energji i poświęcenia dla ukochanych; tą pięknością, świeżością płci, jak uczuć i myśli, które tę śliczną główkę rozpierały. Chciał jej przyjść w pomoc skutecznie, przemówił więc i on z kolei:

— Skoro raczyliście mnie panowie przypuścić do wspólnej narady, pozwólcie dorzucić skromną uwagę. Nic mniej pożytecznego nad poświęcenie bezowocne. Zostając na miej-

scu, możecie tylko dać się uwięzić, co w niczem sprawy nie polepszy. Jeżeli zaś udacie się wprost do jenerała Humberta, przyspieszycie jego wyprawę do Irlandji i wrócicie z nim... Nie piękna-ż to misja do spełnienia? Jakóba zadaniem zaś będzie, czuwać podtenczas nad ludem i uśmierzać jego namiętne zapędy, a względnie karać pokryjomu krzywdy wyrządzane.

— Zgoda!— *Wild-Irish* skinął głową. — Podejmuję się ostudzać zapał przedwczesny i koić wzburzone umysły. Każdy zaś ścigany i prześladowany, znajdzie schronienie bezpieczne w naszych borach i jaskiniach. Poczekamy... Wszak to wola ostatnia wielkiego Hoche'a!

Sprawa zdawała się już ubitą, a jednak Edward jeszcze się wahał. Pamela do nóg mu się rzuciła błagając czule, wśród łkań serce rozdzierających; Łucja zaś porwała dzieci i szepnęła im, żeby ojca za szyję schwyciły. Miał to być argument przekonywający, strzał ostateczny!

— Szalony! — zawołała. — Chcesz-że ten biedny drobiazg osierocić?!..

Skoro uczuł na szyi i łonie ciepłe dzieci ciałka i ich usteczka serdeczne, tatusia całujące, ulotniły się ostatnie jego skrupuły. Przycisnął do serca te drogie mu maleństwa z namiętnem „ach!", które niby jęk z piersi ściśnionej się wydarło. Dzielny patrjota został na głowę pobity, bo przemówił w nim mąż i ojciec... Siostra wydała okrzyk tryumfu i natychmiast w dzwonek stojący na biurku uderzyła. Nadbiegł murzyn.

— Tony, siodłać konie! — rozkazała—tylko prędko!

— Ile? — spytał.

— Dla trzech jeźdźców! – wmięszał się Jakób – odprowadzę lorda Edwarda i sir Artura.. i nie odstąpię, póki statek z nimi na pełne morze nie wypłynie.

— I ja również! — odezwał się Tankred

— A zatem czwartego rumaka, Tony, i oby moja dobra gwiazda mi poszczęściła, żebym mógł im być w czem pożytecznym!...

Wierny sługa spojrzał błagalnie na lorda Edwarda.

— A ja panie, który nigdy ciebie nie opuszczałem?

Giestem wymownym Edward wskazał mu żonę i dziatek dwoje... Murzyn głowę na piersi spuścił — zrozumiał.

— Prawda! — szepnął — Tony musi strzedz rodziny swojego pana I wybiegł, żeby spełnić natychmiast rozkaz wydany.

Łucja zbliżyła się do brata, mówiąc mu:

— Aż do jutra wieczór, nie opuścimy twojej żony. Zostaniemy ja i Kornelja.—A ściskając powtórnie dłoń Tankreda zawołała: — Bóg mnie natchnął myślą szczęśliwą, udać się do pana o pomoc! Oh! pan nawet pojąć nie zdołasz, jak ci jestem wdzięczną sercem całem! Tobie go oddaję w opiekę, panie hrabio!

— Miss! — odrzekł głosem drżącym od wzruszenia. z którego sam sobie sprawy zdać nie umiał — Miss! jedno by twoje słowo wystarczyło, abym oddał się z ciałem i duszą na usługi lorda Edwarda; ale chciej o tem nie zapominać, że jemu życie zawdzięczam, takie zaś długi przywykłem płacić zawsze.

Pożegnania i krótkie przygotowania do podróży, kończyły się, gdy Tony wszedł oświadczyć, iż konie stoją gotowe. Wszyscy wyszli na dziedziniec. Podczas scen wyżej opisanych, noc zapadła. Tony świecił smolnym kagańcem.

Pyszne stajnie lorda Edwarda, dostarczyły czterech rasowych wierzchowców, grzebiących niecierpliwie ziemię w oczekiwaniu jeźdźców. Ci wskoczyli na siodła i puścili się galopem.

Edward uściskał jeszcze z siodła żonę i dzieci, które mu podano:

— Kto wie, kiedy was znowu zobaczę! — szepnął odjeżdżając.

## XI.

### Przeczucie.

Zbiegi nasi wyjechawszy około siódmej wieczorem, potrzebowali dobre czterech godzin tęgiego kłusa, żeby przebyć przestrzeń dzielącą Kildar od stolicy Irlandji. Okryte pianą konie ostatnich sił dobywały, gdy dojeżdżano do parkanu wysokiego. który otaczał piękną willę we wschodniej stronie Dublina, należącą do rodziny O'Connor. Starzec omdlewał prawie ze znużenia. Trzymał się dotąd na siodle, tylko nadludzkim woli wysiłkiem.

— Pozwólcie mi wypocząć tutaj chwilkę — przemówił. — Wszak dopiero za godzinę mamy się zejść razem. Choćbym miał się kazać zanieść moim ludziom na miejsce wyznaczone, stawię się na pewno.

Mieli się zejść w domu Tomasza Reynolds. Prośbę starca musiano uwzględnić bez dyskusji; Edward, Tankred i *Wild-Irish*, udali się pieszo do miasta.

Prócz kilku szynków, dotąd skąpo oświeconych, wszystkie bramy w domach były pozamykane, w okół było cicho i ciemno Gdzieniegdzie, błysnął słabym promyczkiem rewerber zakopcony, świecąc niedostatecznie wśród ulic pustych i czarnych, jak piekieł otchłanie. Noc była bezksiężycowa, nawet gwiazdka żadna, nie zamrugała na szarem tle nieba chmurnego. Lord Edward, zatrzymał się na zakręcie jednej z głównych ulic Dublina.

— Możecie obmyśleć bezemnie naszą ucieczkę – szepnął — ja nie mogę odjechać, matki nie pożegnawszy. Zresztą potrzebuję pieniędzy, dużo pieniędzy, które Jack rozda między naszych braci, z głodu niemal ginących. Skoro ich opuszczamy, niechże przynajmniej nie zostają bez środków do życia!

— Tylko ostrożnie! — *Wild-Irish* zauważył. — I proszę się nie zapóźnić!

— Stawię się najpunktualniej za godzinę! — Edward zapewnił uroczyście.

W płaszcz się zawinąwszy, zniknął na bulwarach, w kierunkach północnym. Tankred i *Wild-Irish* szli dalej ku portowi.

— Na nas dwóch kolej, panie hrabio! Jakób z cicha przemówił. — Każdy niech robi swoje. Pamiętasz pan czem masz się zająć?

— Doskonale! — Tankred głową skinął. — Tak, jakeśmy to po drodze ułożyli, mam umówić się z kapitanem okrętu, który zabierze dziś w nocy na swój pokład wszystkich członków tajnego Dyrektorjatu irlandzkiego...

— Ja zaś tymczasem — Jakób wpadł mu w słowo — uprzedzę tych, którzy jeszcze o niczem nie wiedzą. Schadzka ogólna za godzinę u Tomasza Reynolds'a. Tam najprzód wstąpimy, aby się spytać, który z jego okrętów jest gotów do wyjazdu.

— Ejże! Czy ten Reynolds, ma całą flotę na rozkazy?

— Jest to niezaprzeczenie, jeden z najbogatszych kupców w Dublinie Jeżeli — o czem zresztą ani chwili nie wątpię — udzieli panu polecenia na piśmie do kapitana okrętu odpływającego jeszcze tej nocy, ta oto morska latarnia wskaże panu drogę aż do portu. Nad brzegiem

łatwo poznać oberżę pod godłami Irlandji, po dwóch latarniach ze szkła purpurowego. Każ sobie pan zawołać gospodarza i wymień moje nazwisko, a dostarczy ci natychmiast przewodnika. Gdyby zaś okręt stał już na kotwicy, zdala od brzegu, pierwszem lepszem czółnem, dostaniesz się pan na pokład. Z powrotem zastaniesz mnie w oberży, w izdebce od dziedzińca. Wtedy pośpieszymy do tamtych, który będą już zebrani w tym tu domu. To właśnie dom Reynolds'a.

Nad bramą, którą wskazywał *Wild-Irish* Tankredowi, dwoje tylko okien na pierwszem piętrze było dotąd oświetlonych.

— Jest u siebie — Jakób z tego wywnioskował — i czuwa widocznie.

Tankred sięgał ręką do dzwonka nad bramą; Jakób atoli pociągnął go za rękaw i niemym znakiem wskazał boczną, ciasną uliczkę, po lewej stronie domu.

— Mamy nasze wejście osobne — szepnął — które otwiera się samo z siebie, skoro zna się jego tajemnicę.

W rzeczy samej, *Wild-Irish,* uszedłszy kilka kroków, zatrzymał się nad rodzajem otworu piwnicznego, który przez pół chował się w grubych murach; ręką szukał po omacku, a nadybawszy guzik metalowy, podobniusieńki do innych gwoździ, któremi drzwi dębowe były gęsto nabite, pocisnął go silnie i natychmiast jedna drzwi połówka usunęła się prawie bez szelestu, zostawiając wolne przejście.

Podczas gdy ci dwaj wstępują po wschodach ciemnych i śliskich od wilgoci, musimy słów kilka powiedzieć o człowieku, do którego mają się właśnie udać.

*Wild-Irish* bynajmniej nie przesadził. Tomasz Reynolds uchodził za miljonera.

Roku zeszłego o mało nie został wybrany na lordamera w Dublinie, podejrzliwy atoli rząd Wielkiej Brytanji niedopuścił do wyboru. Dotknięty tem do żywego, może na złość Anglji, a może też z uczuć patrjotycznych, rzucił się w objęcia Irlandczyków-Połączonych, którzy bacząc na jego znaną powszechnie prawość i uczciwość nieskalaną, zaszczycali go najzupełniejszem zaufaniem. Wspólnie z innymi członkami był wtajemniczony w działanie Dyrektorjatu, grożące jak widzimy, wielkiem dla tychże członków niebezpieczeństwem.

Nasi znajomi znaleźli go w obszernej komnacie, na pierwszem piętrze, która służyła jednocześnie za gabinet do pracy i za pokój sypialny. Drzwi, któremi weszli, były starannie ukryte w boazerji ministernie ułożonej z tafel drzewa rozmaitego i ozdobionej prześliczną snycerską robotą. Stanowiła ona ścianę w głębi szerokiej alkowy, idącej przez całą długość komnaty. Na przeciw, po między dwoma oknami, wychodzącemi na *Kildare-street*, stało wielkie biuro starożytne z dębu ciemnego, nie politurowanego, na którem leżały w nieładzie próbki towarów, rejestra, pokwitowania i mnóstwo innych papierów. Komin był z lewej strony; na prawo drzwi główne, prowadzące na wielkie wschody, ponad bramą wjazdową.

Reynolds czekał widocznie zupełnie na kogoś innego, bo ujrzawszy przed sobą Jakóba, drgnął, jakby to było dla niego bardzo niemiłą niespodzianką. Po pierwszych słowach tłumaczenia skamieniał, przerażony, następnie zaczął prawie rozpaczać. Ten zupełny brak godności osobistej, dowody namacalne słabości niemęskiej, wywarły na Tankredzie wrażenie nader niekorzystne.

Gdy ich Jakób jednego z drugim zapoznał, hrabia ocenił człowieka.

Wzrostu miernego, mocno otyły, Reynolds był usposobienia zgryźliwego, popędliwego; w dodatku nadęty jak purchawka, na wskróś przejęty swoją wielkością i wpływami wszechwładnemi, uważał też siebie za rodzaj bóstwa, stojącego na piedestalu z worów pełnych pieniędzy. Ale już trwoga nikczemna i strach dziecinny, strąciły bóstwo z piedestalu. Nic pod słońcem nędzniejszego, niż takie zbłaźnienie się po prostu pyszałka pospolitego, którego całą dumą, całą ambicją, są *binzes* i mamona.

— Uciekać? — wołał bezprzytomny — uciekać tak nagle, niespodziewanie, nie mając czasu na porozumienie się z moimi wspólnikami, nie uprzedziwszy moich komisantów, nie uregulowawszy spraw rozlicznych! Ależ to hańba to bankructwo!

Wyrzucając te słowa bezładnie, z piersi kurczowo ściśniętej, Tomasz biegał jak opętany wzdłuż pokoju, mając wiecznie na myśli interes osobisty. Twarz zmieniłmu się do niepoznania oczy trwoga szalona na wierzch wysadziła; przedstawiał typ doskonały samoluba, pełnego wahania się i miotanego niepokojem o własny dobytek. Za każdem słowem, mierzył wzrokiem błędnym wielką księgę handlową, okutą na rogach blachą miedzianą, oprawną w gruby pergamin i na mocne dwie klamry zamykaną. Leżała właśnie otwarta na biurku, pomiędzy oknami.

— Dokończysz pan skarg i lamentów na pełnem morzu! — przerwał mu *Wild-Irish* pogardliwie — Chwilowo idzie nam o rozkaz, na który hrabia czeka. Ja zaś lecę pozbierać kolegów... za godzinę najdalej wszyscy tu się zgromadzą.. Spiesz się pan tylko!

Ostatni frazes, tyczył się Tankreda w szczególności *Wild-Irish* przycisnął dłonią okucie boczne biurka, które prawdopodobnie było w połączeniu ze sprężyną. otwierającą drzwi dolne *Wild-Irish* ulotnił się przez alkowę, którędy weszli poprzednio.

Reynolds upadł na wielkie krzesło poręczowe, skórą ciemną wybite, które stało przed biurkiem i pozostał tak nieruchomy, złamany, spiorunowany.

— Myślę, iż pan zrozumiałeś o co idzie! — przemówił tonem ostrym hrabia, podając mu pióro w atramencie umaczane. — Czekam!

— Tak! tak!.. wiem!.. rozumiem! — jąkał się kupiec drżąc jak liść — Ale któryż to statek miał odpłynąć?.. Ah! *Nadzieja* z kapitanem Murphy! Miał wprawdzie czekać na ranny przypływ jutrzejszy, ale może tak samo puścić się z nami z nocnym odpływem. Znajdziesz go panie hrabio na pokładzie. Oto rozkaz. Reynolds skończył i podpisał.

W chwili gdy Tankred chwytał z pospiechem pismo i pobieżnie wzrokiem przebiegał, uderzono w bramę od ulicy z całej siły.

Spojrzeli jeden na drugiego. Któż to o tak późnej godzinie dobijał się do bramy, w sposób gwałtowny i bezwzględny, jakby wszechwładny pan domu?

— Odejdź panie hrabio, odejdź! — naglił kupiec — ja tymczasem pozbędę się sam i odprawię natręta. Oczekiwałem tej nocy braci Sheures i dlatego poleciłem służbie nie otwierać, choćby największy tartas przed bramą słyszeli. Drzwiczki skryte na uliczkę wychodzące zastaniesz pan otwarte. Idź tylko! idź!

(Ciąg dalszy nastąpi).

# TRAGEDJA ŻYCIA.

*(Wspomnienie w każdem słowie prawdziwe.)*

Przed rokiem upłynęło lat trzydzieści. Byłem wtedy chłopcem dziesięcioletnim. Nieboszczyk ojciec przywiózł mnie do Lwowa i zapisał do tak zwanego gimnazjum „polskiego,“ które dlatego tak się nazywało, że kilka przedmiotów wykładano w niem po polsku. Gimnazjum było malutkie, mieściło się w niepokaźnej kamieniczce obok kościoła katedralnego i rzadko jaki ojciec w epoce reakcji i germanizmu, odważył się do niego posyłać swoich synów. Niektórych profesorów do dziś pamiętam. Ówczesny nasz katecheta, ks. Solecki, jest teraz biskupem przemyskim, a pan Stanecki należy obecnie do wybitniejszych profesorów uniwersytetu lwowskiego. Przypominam sobie także ś. p. Henryka Sucheckiego, znanego gramatykarza, który od przytomności odchodził, jeźli jaki uczeń, pisząc np, okazja, zamiast *j*, dał *y*. Od tego czasu zostałem i ja zapalonym „jotystą“ i takim chyba umrę.

W pierwszej klasie miałem kolegów kilkudziesięciu, ale między nimi pokochałem najbardziej Władysława Humińskiego. Był to chłopaczek o lat kilka odemnie starszy, gdyż ojciec jego, biedny szlachcic zagrodowy, nie mógł syna wcześnie do szkół posłać, szczupły, cichy, łagodny i nad wyraz słodki. W szkole siedzieliśmy obok siebie; po za szkołą, on prawie cały czas, z wyjątkiem nocy, spędzał w mojem mieszkaniu. Uczyliśmy się razem, rozmawiali i na przyszłość różowe plany układali. Władysław był biedny, bardzo biedny... Książki nie miał żadnej, gdy zima nadeszła, chodził w cieniuteńkim surduciku, ciepła strawa na objad była dla niego zbytkiem. A mimo to, uczył się pilnie, nigdy się nie skarżył, zawsze był słodki, uśmiechnięty... Widzę go jeszcze stojącego naprzeciw mnie koło stolika, z głową przechyloną, spoglądającego na mnie z rzewnem uczuciem, wypływającem ze szczerej przyjaźni i słyszę jak mówi:

— Szczęśliwyś, Józefie, że możesz się uczyć spokojnie!

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Mróz onej zimy był siarczysty; gonty z dachów wyskakiwały, a wróble, jak mówiono, marzły na drzewach i na ziemię nieżywe padały. Rodzice moi, zamieszkali o pięć mil od Lwowa, donieśli mi, że dla zbyt wielkiego zimna nie wezmą mnie na święta do domu. Boleść moja była bez granic. Nietylko żałowałem że rodziców nie zobaczę, ale niemniej i tego, że nie będę miał sposobności pokazać im mojego przyjaciela, Władysława, z którego byłem dumny i że on, biedaczek, nawet na święta lepiej się nie pożywi. Nie mogąc żadną miarą pogodzić się z tą smutną koniecznością, ułożyłem plan równie zuchwały, jak lekkomyślny, którego o mało życiem nie przepłaciłem. Oto, nakłoniwszy Władysława, postanowiłem, bądź co bądź, pojechać z nim koniecznie do mojego domu, a że miałem 30 krajcarów, sumę niezmiernie wielką, więc nie wątpiłem, iż uda mi się szczęśliwie szalony zamiar przeprowadzić. Jedna tylko trudność stała na zawadzie: zbyt lekki strój Władysława. Ale i na to znalazł się sposób: z mojej kołdry postanowiłem zrobić mu paletot. Stało się, jakeśmy uradzili. Wybrawszy dzień targowy, wtedy bowiem z wiosek i miasteczek było dużo wieśniaków we Lwowie, wymknąłem się niepostrzeżenie z mego pomieszkania, unosząc kołdrę z sobą, a po niejakim czasie znalazłem się na ulicy Gródeckiej, gdzie w miejscu umówionem oczekiwał mnie Władysław. Na prędce zrobiliśmy rodzaj kapy, sznurkami powiązanej, w którą biedaczek się ustroił. Gdym go teraz zobaczył, mimowolnie zawołałem:

— Wiesz co, wyglądasz jak ksiądz!

Uśmiechnął się i odpowiedział:

— Dałby Bóg, żebym nim kiedy został!

Wyszukaliśmy chłopa z Gródka, który za 20 krajcarów podjął się odwieźć nas do tego miasta. Zapłaciłem i przeżegnawszy się, ruszyliśmy w drogę Jak i kiedy minęliśmy tę przestrzeń czteromilową, tego już dziś nie pamiętam. Tyle sobie tylko przypominam, że gdyśmy w Gródku stanęli, noc była ciemniuteńka; o dalszej podróży nie było więc mowy. Po krótkiej naradzie, udaliśmy się do domu zajezdnego, w którym jeszcze się świeciło, i dopiero nazajutrz rano zamierzaliśmy się puścić znów w drogę. Żyd przenocował nas za 10 krajcarów. Gdy świtać zaczęło, zbudziliśmy się bez grosza. Śniadania nie było za co zjeść koni nie było za co nająć, a do domu moich rodziców miałem jeszcze całą milę drogi uciążliwej, bo polnej, na której śniegi w pas leżały. Wprawdzie w Gródku mogłem odszukać znajomych mego ojca i o konie ich prosić, lecz wstyd nie pozwolił mi tego uczynić. Postanowiliśmy więc iść dalej pieszo.

I szliśmy jeden obok drugiego, na czczo, głodni, mróz siarczysty nawskróś nas przenikał, a wiatr bił w oczy i śniegiem zasypywał. Droga była niewyraźna, ledwie gdzieniegdzie widne były na niej wierzby staruszki, lub grusze rozczochrane, ale ja prowadziłem mego przyjaciela z całą pewnością, że nie zbłądzimy, bo któryż chłopiec nie zna drogi do domu swoich rodziców? Znałem drogę, lecz nie znałem jeszcze swoich sił. W każdym razie, mniejsze one były w chłopcu dziesięcioletnim niż jego wyobraźnia... Byliśmy może w połowie, w miejscu odludnem, wśród natury rozszalałej, zewsząd bowiem wiatr niósł śniegu tumany, gdy takie uczułem znużenie, że musiałem stanąc i usiąść. A ledwiem usiadł, ogarnęła mnie senność przyjemna, rozkoszna... Przymknąłem więc oczy i zacząłem usypiać... Władysław, widząc to, chwyta mnie za ramię, trzęsie i woła żebym wstawał. Ja go zaklinam, żeby mi pozwolił przespać się chwilę, ale on z płaczem krzyczy:

— Wstawaj, Józefie, wstawaj!

Ten płacz ocucił mnie; zebrałem resztę sił i wstałem. Poczciwy mój przyjaciel uratował mi życie!

Szliśmy dalej znużeni, bezsilni, omdlewający; przez całą drogę nie spotkaliśmy nigdzie żywej duszy, ale koło południa dostaliśmy się istnym cudem na pagórek, z którego było już widać dom moich rodziców.

Jakiego wrażenia oni doznali, gdy spostrzegli swego syna dziesięcioletniego, prowadzącego za rękę ukochanego kolegę, gdy pomyśleli, ile razy te dzieci mogły w drodze na śmierć zamarznąć, zaiste, tylko ten to zrozumie, kto sam jest ojcem i w czyjem sercu tkwią prawdziwie ludzkie uczucia!

Tydzień spędziliśmy w ciepłym pokoju, wśród atmosfery miłością przesiąkniętej; żadnego z nas nawet głowa nie zabolała; już nazajutrz zapomnieliśmy cośmy przebyli; a gdy po tygodniu ojciec do Lwowa nas odwoził, Władysław rzucił mi się na szyję i zawołał:

— Dziękuję ci, żem tak rozkoszny tydzień spędził!

Skończył się rok szkolny i obaj przyjaciele musieli się rozłączyć. Jam uczęszczał dalej do szkół we Lwowie, Wła-

*

dysław Humiński przeniósł się do Brzeżan, gdyż jego ojciec mógł go tam łatwiej utrzymać.

Minęło lat dwadzieścia.

W tym czasie z dzieci wyrośli mężczyźni, a wypadki krajowe wielu z nich poroznosiły po świecie, jak wiatr roznosi liście po polach. W tym czasie przeniosłem się do innych szkół, potem lat kilka spędziłem w Niemczech, Włoszech i we Francji, a wróciwszy do kraju, poświęciłem się publicystyce. W ciągu tego dwudziestolecia miałem setki nowych kolegów, poznałem tysiące nowych ludzi, pozawiązywałem nowe stosunki przyjacielskie i zrobiłem sobie krocie przyjaciół. Ale w tym tłumie różnorodnym, jedna twarz przedstawiała mi się wyraźniej niż wszystkie inne, pamięć moja często ku niej się zwracała, i okiem duszy widziałem główkę przechyloną, wzrok łagodny i uśmiech słodki. Była to twarzyczka pierwszego mego przyjaciela z „parwy“ — Władysława Humińskiego. Gdzie się on teraz obraca?

Było to w roku 1877. Na wystawę lwowską zjeżdżali się ludzie z wszystkich stron. Z całej Galicji, z Królestwa, nawet z Wielkopolski, choć ta prowincja żyje w największem odosobnieniu. Dnia pewnego, gdym siedział w redakcji, drzwi się odchyliły i cichutko, nieśmiało, z głową przechyloną, wszedł ksiądz w długiej sutannie. Podniosłem głowę i krzyknąłem uradowany. Przedemną stał Władysław Humiński. Poznałem go od pierwszego wejrzenia, choć nie widzieliśmy się lat 20!

Cośmy wtedy z sobą mówili, kogoby to mogło obchodzić... Wiem, że w tych kilku godzinach, któreśmy spędzili, przypomnieliśmy sobie całe nasze życie, i że nam było dobrze, bardzo dobrze... Władysław prawie nic się nie zmienił. Wychudł tylko bardziej, a wyraz jego twarzy zrobił się jeszcze słodszy. Skończył seminarjum, został księdzem, zawinął do portu.

— Wiesz co — rzekł między innemi — zdaje się, że nie miałbym już żadnych pragnień i byłbym całkiem szczęśliwy, gdyby nie to jedno, że jako wikary nie mam kąta spokojnego... Wciąż trzeba się tłuc po świecie i mieć do czynienia z ludźmi rozmaitymi. Prócz tego i zdrowie moje nie tęgie... W nędzy żyło się za młodu, a teraz trzeba nieraz mieszkać w pokoju tak wilgotnym, że woda leje się po ścianach. Radbym także dopomódz mojej rodzinie biednej, a cóż dla niej dziś uczynię, gdym sam biedny jak Hiob...

Pocieszałem go, jak mogłem. Słuchał, dziękował, ale smutno głową potrząsał

— Przyjdzie chleb, przyjdzie — szeptał — ale kto wie czy nie wtedy, gdy go już nie będzie można jeść...

W rok po tej rozmowie ożeniłem się, a pożegnawszy Lwów i wziąwszy rozbrat z bezowocną w nim walką, przeniosłem się na wieś, do Nowego-Sioła, miejscowości położonej o trzy mile od miasta Stryja.

Upłynęło kilka lat. W Stryju bywałem rzadko, chyba wtedy, gdym na kolej jechał. Zdarzyło się jednak raz, że miał ktoś do mnie przyjechać z zagranicy, na którego trzeba było na stacji czekać. Ponieważ przyjechałem za wcześnie, udałem się więc do miasta. Przechodząc koło kościoła, a była to godzina południowa, ujrzałem wielki tłum ludzi, cisnący się do drzwi wchodowych. Wszedłem, przeciskam się z trudnością do wielkiego ołtarza, i kogo tam widzę? Na środku kościoła, w białej komeżce, z głową przechyloną, ze słodkim uśmiechem na bladej twarzy, stoi mój przyjaciel stary, ks. Władysław Humiński i głosem łagodnym, do serca przenikającym, katechizmuje dziatwę, co się w koło niego tłoczy. Ujrzał mnie i poznał. Uśmiech weselszy twarz mu rozjaśnił, lecz nie przestał nauczać i dalej katechizmował. Dopiero gdy swój obowiązek spełnił, poszliśmy do zakrystji.

— Co tu robisz? — pytałem.

— Dano mi administrację, gdyż proboszcz tutejszy umarł. Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że mieszkasz w Nowem-Siole, więc dla tego nie doniosłem ci o sobie. Ale czy zgadłbyś, co mi się dzisiejszej nocy śniło? — dalej mówił. — Przyszedłeś do mnie, jakby teraz na jawie, i rzekłeś wyraźnie: Rada miasta Stryja da ci probostwo ośmnastu głosami!

— Bardzo mnie to cieszy — odpowiedziałem — a skoro pierwsza połowa snu już się sprawdziła, bo w tej chwili widzisz mnie przed sobą, więc da Bóg że i druga się ziści...

— Ja o tem nawet nie marzę! — odparł i ręką machnął. — Probostwo stryjskie to beneficium, jakich w kraju niewiele... dwa folwarki i kapitały. Jabym się i mniejszem zadowolił — byłem raz osiadł gdzie spokojnie...

W kilka tygodni otrzymuję bilet tej treści:

„Dnia . . . moja instalacja na probostwo stryjskie. Rada miejska udzieliła mi prezentę 18 głosami. Spodziewam się że przyjedziesz. Sam nie wiem jak Bogu za tyle łaski dziękować. Twój — ks. Władysław Humiński.“

O dobre to beneficium starało się bardzo wielu księży; między nimi mieli niektórzy nawet wielką protekcję. A mimo to nie dostał go z nich żaden, tylko ks. Humiński. A dla czego? Bo mieszczanie stryjscy, patrząc na jego cnoty, na jego żarliwość kapłańską i na słodycz jego charakteru, powiedzieli sobie, iż o lepszym proboszczu nawet marzyć nie mogą. Przez czas swojej administracji tak sobie ich serca zaskarbił, że za nic w świecie nie byliby go ze swego miasta wypuścili.

Huczna była instalacja. Starosta, marszałek powiatowy, generał dowodzący załogą miejscową, szlachta okoliczna, reprezentanci szkół, sądu i mieszczaństwa, wszyscy zgromadzili się na tę uroczystość. Wnoszono rozmaite toasty, a mnie kazano spełnić kielich na cześć staropolskiego „Kochajmy się!“ Wypadało przy tej sposobności coś powiedzieć. Ale co? Nie namyślając się długo, opowiedziałem, jak z solenizantem pokochaliśmy się w pierwszej klasie gimnazjalnej, jak ręka w rękę szliśmy onego dnia wśród śniegu, mrozu i burzy, jak on mi wtedy życie uratował, jak później widzieliśmy się jeden raz tylko i jak teraz znaleźliśmy się obok siebie, aby się już więcej nie rozłączyć i kochać się do końca życia. Widziałem, że wielu słuchało mojej opowieści z rzewnem uczuciem, lecz byli i tacy, którzy w chwili gdym opowiadał, iż ze Lwowa puściliśmy się wśród zimy, bez futer i z 30-tu krajcarami, uśmiechali się z politowaniem!...

W pierwszym zaraz roku po otrzymaniu probostwa stryjskiego, ks. Humiński zajął się odnowieniem miejscowego kościoła, który znajdował się w stanie nader opłakanym. Nie jadł, nie spał, nie odpoczywał, tylko od rana do wieczora rozpisywał listy, zbierał składki, doglądał robotników, a gdym mu raz zrobił uwagę, żeby się więcej szanował, odrzekł mi z uśmiechem:

— A dla kogoż mam żyć, jeźli nie dla Kościoła i nie dla moich parafian?

Wszystkie swoje dochody obracał na ten cel piękny, a sobie nie kupił nawet nowej sutanny. Dokonał nareszcie wielkiego dzieła i kościół stryjski, pamiętający czasy Kazimierza W., stanął w nowej szacie. Miasto było uszczęśliwione, a ktokolwiek mówił o proboszczu, miał łzy w oczach. Ks. Humiński nie rozpatrzył się jeszcze w swojem dziele, gdy nagle wybucha pożar w Stryju, niszczy całe miasto a z niem i kościół. Prócz murów, nic z niego nie zostało. Straszną tą katastrofą zajmowała się cała Europa.

Nazajutrz po pożarze pospieszyłem go odwidzieć. Był chory i poparzony, gdyż z płonącego już probostwa, z narażeniem życia, ratował księgi metrykalne. Ocalały one wszystkie. Pocieszałem go mówiąc, że świat katolicki nie zapomni o jego kościele. Uśmiechał się, dziękował i wciąż powtarzał:

— Daj Boże! Daj Boże!

Zaczęła się praca uciążliwa, bez godziny spoczynku. Starał się o fundusze, zbierał składki, kołatał do Sejmu, urządzał loterje fantowe, rozpisywał listy po całym świecie, zaczął robotę ab ovo, a równocześnie ratował pogorzelców, pełnił sumiennie obowiązki kapłańskie, był dla wszystkich przyjacielem i ojcem. Nareszcie, dzięki swojej niezmordowanej pracy i wytrwałości, do tego doprowadził, że około Bożego Narodzenia kościół był już na zewnątrz prawie całkiem odnowiony i zaczął go wewnątrz malować. Gdy mi go pokazywał, cieszył się jak dziecko.

— Da Bóg szczęśliwie doczekać jeszcze rok, a będę gotów! — powiedział mi na odjezdnem, życząc świąt wesołych.

Ale podczas świąt miał zajęcia niesłychanie wiele, a on od żadnego nigdy się nie usuwał. Spowiadał, grzebał, głosił Słowo Boże w zimnej świątyni. Po jednem takiem kazaniu wyszedł spocony, na dworze był wiatr mroźny, zawiało go i dostał bolu gardła.

Gdym na początku marca r. b. jechał do Warszawy, znów go odwidziłem. Był cierpiący, ale myśleliśmy że to zwykłe przeziębienie. Gdym go jednak zobaczył w czternaście dni po moim powrocie, osłupiałem. Zastałem go na środku pokoju, wychudzonego straszliwie, z twarzą żółtą, powleczoną samą tylko skórą... Jedne oczy jakoś dziwnie mu się świeciły. Stał z głową przechyloną i ujrzawszy mnie uśmiechnął się żałośnie.

— Władysławie, co ci jest? — zawołałem.

Wziął mnie za rękę, pokazał na gardło i rzekł głosem ledwie dosłyszalnym:

— Tu... tu... Jest chleb, ale jeść go nie można... Chciałem spocząć, spocznę, ale na wieki...

W ośm dni później już nie żył.

A kiedy wieść o jego śmierci rozbiegła się po mieście, wszyscy płakali, bo każdy czuł, że umarł kapłan wzorowy, mąż prawy, że zgasł charakter kryształowy, a jedna dusza świetlana pożegnała tę ziemię na wieki. I żal ogarnął wszystkie serca, a kiedy, dni temu kilka, z przed kościoła w Stryju ruszył orszak pogrzebowy, widziano w nim miasto całe: polaków i rusinów, niemców, nawet żydów. Szli wszyscy oddać ostatnią posługę cichemu pracownikowi, którego życie całe było jedną tragedją.

Pokój twoim popiołom, Władysławie, o ty mój najpierwszy i najlepszy przyjacielu!

Nowe-Sioło pod Stryjem, dnia 4 Kwietnia 1887 roku.

*Józef Rogosz.*

---

# NAPOLEON BONAPARTE

przez

## H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

Największem niebezpieczeństwem, na jakie nas dzisiejsze wychowanie naraża, jest fakt, iż od trzech wieków zatracamy coraz bardziej prosty i naturalny pogląd rzeczy. Zniewieściali zadomowieni badamy, wskutek nauki zbyt długiej i różnorodnej nie przedmioty, lecz cechy ich zewnętrzne. Mapa geograficzna zastępuje nam ziemię; wiązanka nazw pustych zwierzęta walczące o prawo bytu; — obok czczej nomenklatury stawiamy tu co najwyżej okazy martwe, nagromadzone w muzeach. Ludzi nie znamy również; istoty tętniące krwią i życiem przedstawia nam statystyka, prawodawstwo, historja, literatura, filozofia, jednem słowem, to, co druk objąć może lub—co gorzej jeszcze—pojęcia jakieś oderwane, które z biegiem stuleci coraz abstrakcyjniejszemi się stają. Śmiało też można powiedzieć, iż w sprawach humanitarno-społecznych poglądy takie wydają się z dniem każdym bardziej złudnemi, bo coraz mniej do rzeczywistości zastosować je można.

Niejeden objaw w dziedzinie ludzkiej wymyka się dziś z pod naszego sądu,—sztucznie bowiem powiększony i przez poplątanie różnorodnych interesów rozdęty do olbrzymich wymiarów, staje się o tyle złożonym, iż tem samem nie daje się objąć wszechstronnie. Pojęcia tak powikłane i chwiejne, nie mogąc dobrze odpowiadać rzeczy, pozwalają twierdzić śmiało, iż na dziesięć osób dziewięć prawie,—nie,—na sto—dziewięćdziesiąt dziewięć niezawodnie nie ma jasno sformułowanych i dokładnych poglądów na stosunki, jakie je otaczają. Jeżeli więc ktoś pragnie poznać społeczeństwo żyjące, takie, jakiem ono jest, powinien po ukończeniu nauk i nagromadzeniu wiadomości teoretycznych, poświęcić jeszcze lat dziesięć lub piętnaście na obserwację życia i przetrawienie abstrakcyjnych, z książek zaczerpniętych zapatrywań. Przetłómaczywszy w ten sposób czcze frazesy, jakiemi napakowano mu umysł, sprawdziwszy idee na przykładach, potrafi dopiero puste określenia ożywić wrażeniami osobistemi, nadając im cechę prawdy, znamionującą zawsze sumienne, z natury robione studja.

Niema tak podniosłych idei, którychby bieg wieków nie potrafił wypaczyć i skrzywić. Wszak społeczeństwo, państwo, rząd i władza, prawo lub wolność—to pojęcia ustalone, zrozumiałe dla wszystkich, a jednak widzimy, jak koniec XVIII stulecia obciął je, zacieśnił i sfałszował. Źle tłómaczone, łączyły się w większej połowie umysłów w łańcuch twierdzeń niedorzecznych, a oparte na grze wyrazów, na gołosłownych prawidłach, majaki te metafizyczne wydały z czasem cały szereg potwornych i szkodliwych urządzeń.

Chimery owe nie zajmują wszakże miejsca w głowie Bonapartego; ani jedna z nich nie znajduje tam przystępu, nie może zapuścić korzeni na nieprzyjaznym sobie gruncie. Wstręt jego do chorobliwych, wszelkiej podstawy pozbawionych widziadeł, do polityki oderwanej, dosięga pogardy. Ideologia jest dla niego zmorą istną; brzydzi się nią, nietyle przez wyrachowanie osobiste, ile przez instynkt prawdy, praktyką zdobyty, przez poczucie wodza naczelnego i męża stanu, pamiętnego zawsze na słowa, które wyszły z ust Katarzyny Wielkiej: „Zwykłam pisać nie na papierze, lecz na skórze ludzkiej; wrażliwa na dotknięcie, odznacza się ona

niezwykłą łaskotliwością.“ Ztąd wszystkie jego pojęcia oparte są na obserwacjach robionych przedtem, warunkowane badaniem i spostrzeżeniami osobistemi, których nigdy nie przerywa.

Książki służą mu tylko do podsuwania myśli, do poddawania pytań, własnem rozstrzyganych doświadczeniem. Zresztą, czytał niewiele i nader pospiesznie, wykształcenie klasyczne zaś w pierwszych tylko odebrał zasadach; dość powiedzieć, iż, co do łaciny, nie przeszedł czwartej klasy. Nauki wykładane w szkole wojskowej, a następnie w Brienne, do miernego zaledwie dochodziły poziomu; a jednak, pomimo elementarnego stopnia wiedzy, zauważono już tutaj, iż młody Bonaparte nie miał do języków i do literatury ani upodobania, ani zdolności Nawet ówczesne piśmiennictwo uczone z pozoru, a formą wytworne, owa lekka filozofia salonów i buduarów, którą społeczeństwo całe zdawało się przesiąknięte, przesunęła się po umyśle jego, jak po skale z granitu, żadnego na niej nie pozostawiając śladu. Prawdy matematyczne dopiero, historja i geografia, w faktach swych niezbitych, potrafiły wyryć na niej niezatarte piętno. Wszystkie inne wiadomości, cały rozwój umysłowy — jest gmachem, który narówni z protoplastami swymi z XV-go stulecia własną dźwignął pracą. Jeden bystrzejszy rzut oka pozwoli nam rozróżnić w nim owoc, wyniesiony z bezpośredniego zetknięcia się z faktami i ludźmi epoki, zdobyty zasługą wrodzonego taktu, intuicji, oraz uwagi niezmordowanej i drobiazgowej, która każdy szczegół z góry przeczuty sprawdza następnie i bada, poświęcając mu długie godziny samotnych rozmyślań. Niezmordowanie pracowity, opiera każde twierdzenie na doświadczeniu własnemi rękami wykonanem; jak mechanik wzrosły wśród warsztatów i składu machin zna on każdy ich trybik. „Nie istnieje żadna praca wojskowa, któréjbym sam dokonać nie umiał“ — przytacza Roederer słowa cesarza. — „Gdyby zbrakło ludzi do wyrabiania prochu, potrafiłbym ich zastąpić; gdyby potrzeba było lać armaty, sam dokonałbym tego, tak, jak umiałbym uczyć mustry, zastępując w obowiązku niższych stopniem wojskowych.“ I w tem właśnie leży tajemnica wysokiej jego kompetencji, zdolności okazywanych stopniowo na stanowisku generała artylerji i wodza głównego, a później dyplomaty, finansisty i wszechstronnego administratora wielkiej monarchji. Dzięki wiedzy gruntownej, imponuje on zarówno członkom gabinetu, jak ministrom przedstawiającym mu memorjały. „Starszy ze mnie i doświadczeńszy od nich administrator!“ – woła, dowodzi zaś wiedzy swej praktycznie w chwili, gdy niewyczerpana pomysłowość jego musiała dostarczyć sposobów wyżywienia i utrzymania w karbach parukroć set tysięcy ludzi, gdy, ożywiając je jednym duchem i jedną myślą, musiała masy te zwarte natchnąć żądzą czynu i sławy, a równocześnie posłuszeństwem bez granic.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

# Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

## Pogadanka.

*Lwów d. 18. Marca 1888 r.*

Na Galicję padł strach. Szlachta, mieszczanie, chłopi, wszyscy są zaniepokojeni, bo — wódka ma podrożeć! Wszędzie indziej zjawisko takie byłoby godnem pożałowania, bo przecie im droższy spirytus, tem mniejsza demoralizacja, wszędzie indziej, ale niestety, nie w jednej Galicji. Tu obywatele słusznie się boją, by ich fundusze zanadto się nie uszczupliły, co w czasach tak ciężkich, jak dzisiejsze, byłoby dla nich wielką klęską; miasta drżą o swoją przyszłość, główne bowiem ich dochody płyną li z propinacji; wreszcie i chłop się trwoży, że będzie musiał skąpić sobie tego nektaru olimpijskiego, który słabemu jego organizmowi, dodawał ciepła, sił i zdrowia. Przez nadzwyczajne podrożenie spirytusu zmniejszy się wprawdzie liczba pijaków, ale za to wskutek większej biedy społeczeństwo zanotuje moralny ubytek w innych kierunkach, boć niewątpliwą jest prawdą co mówi socjologja, że główne zbrodnie powstają z nędzy a rodzą się w ciemnych zaułkach. Gdyby z podrożeniem wódki i zachwianiem się gorzelnictwa, rozwinęły się u nas równocześnie inne gałęzie przemysłu, mogące uzupełnić ten ubytek w naszych dochodach, z jakąż radością powitalibyśmy wtedy nowy podatek, zwłaszcza że nie da się zaprzeczyć, iż z punktu widzenia tak moralnego jak ekonomicznego, jest on z wszystkich najsprawiedliwszy. W Anglji, Francji, w Niemczech, w Szwecji, nawet w Rosji został on w ostatnich czasach niezmiernie podwyższony. Czy dałby kto naprzykład wiarę, że w pierwszym lepszym hotelu petersburskim, kieliszek zwykłej wódki kosztuje na nasze pieniądze blisko 40 centów? A mimo to „russkij czołowiek“ trąbi „wodku“ aż uszami trzęsie, bo ma ją za co kupić. A u nas czy wielu znajdzie się takich, którzy będą sobie mogli tego zbytku pozwolić, jeśli litra zwykłej śmierdziuchy będzie kosztowała 80 centów?... Ze wszystkiego co się dzieje, widać, iż Galicja nie może wytrzymać żadnego nowego podatku, więc też rację ma p. Szczepanowski gdy woła, abyśmy się zajęli podniesieniem produkcji, zaczem pójdzie pomnożenie kapitałów, bo inaczej marnie zginiemy. Myślmy o tem od rana do ciemnej nocy a niewątpliwie weźmiemy się do pracy i kraj z niedoli podźwigniemy, bo skoro to się innym narodom udało, więc czemu tylko my jedni mielibyśmy na wieki zostać helotami!

Na szczęście przebyliśmy zimę, jednę z najsroższych, jakie najstarsi ludzie zapamiętają. Że wśród ciągłych zamieci nietylko człowiek cierpiał, ale także leśne zwierzęta, o tem dowiaduję się z listu wydawcy naszego pisma, który otrzymałem już po wydaniu numeru poprzedniego Oto co on mi donosi: „Nowe Sioło d. 10. marca. Szanowny Kolego Zanotuj w najbliższej pogadance fakt niezwykły, a całkiem prawdziwy. Pod moim ogrodem warzywnym, który od pola jest oddzielony rzeczką niewielką, o brzegach urwistych, stały od połowy lutego dwa stada sarn, złożone z dwóch starych kozłów i pięciu kóz. Brak pożywienia w lesie, kazał im go tu szukać. Karmiłem je tak samo jak i inne moi sąsiedzi, którzy widząc, iż sarny z głodu giną, rozwożą koniczynę po lasach. Podczas ostatniej zawierzuchy, która u nas wyglądała jak orkan, wszystkie owe sarny, brnąc w śniegu po brzuchy, przyszły aż na gazon, przed dom, i stanąwszy na środku, zwróciły głowy do okien pierwszego piętra, jakby prosiły nas o jałmużnę. Mimo że dzieci moje wołały do nich w szyby dzwoniąc, nie okazywały najmniejszej obawy, potem zaś zbliżyły się do sztachetów, któremi park jest od drogi odgrodzony i śliczne główki między szczeble wetknąwszy, spoglądały na wieś. Gdyby nie ta zapora, byłyby z pewnością poszły między psy i ludzi.. Oto jak nędza gasi w istotach żyjących wszelkie uczucia, w końcu samą bojaźń... Gdy nie mamy się czem pożywić, stajemy się obojętni na wszystko, nawet na śmierć... I dziwić się tu, że proletarjusz robi się obojętnym na wielkie zagadnienia, które ludzkości piersi rozpierają, że nie wzdycha ani do wielkości, ani do sławy, ani do wolności, jeno do chleba!... Nie rzucajmy więc na niego

kamieniem, tylko współczujmy jego niedoli, za hasło zaś życia weźmy sobie słowa szlachetne: „Wszystko zrozumieć a odczuć, znaczy wszystko przebaczyć“!..

Mam w ręku sprawozdanie ks. Smolikowskiego, przełożonego X X. Zmartwychwstańców we Lwowie, z którego dowiaduję się nie bez pewnego zdziwienia, dzienniki bowiem nic o tem dotąd nie pisały, że nasi Ojcowie obok internatu ruskiego, otwierają drugi, polski, a właściwie oba razem łączą, by polacy razem z rusinami nauczyli się żyć pospołu. Jak dotąd, polaków jest dopiero 4, liczba ta jednak bardzo prędko się powiększy, nie jedna bowiem rodzina, która dotąd miała swoich synów w Chyrowie, będzie wolała pomieścić ich we Lwowie, gdzie łatwiej może się z nimi komunikować i gdzie koszta będą prawdopodobnie mniejsze. W jednym z przyszłych numerów opowiem szanownym Czytelnikom, jak internat X X. Zmartwychwstańców wygląda, umyślnie bowiem w tych dniach do niego się wybiorę, dziś zaś tylko nadmienię, że do szczęśliwych myśli zaliczam połączenie polaków i rusinów pod jednym dachem. Niedawno temu dużo się mówiło o utrakwizmie w szkole, który jednak jako niemożliwy do wykonania, musiał być zaniechany, dziś księża Zmartwychwstańcy chcą go urzeczywistnić w innej formie, bo jak ks Smolikowski zapewnia, polacy uczą się u nich po rusku, rusini zaś po polsku. Jeżliby im się powoli udało wyrównać choć w części tę wielką przepaść, która między obiema narodowościami w Galicji zdaje się z dniem każdym bardziej rozszerzać, jak wielką byłaby ich zasluga!

Czego się w naszym wieku można jeszcze spodziewać? Mnie się zdaje, że wszystkiego. Parowe maszyny, elektryka, telefony, kanał Suezki, tunele przez Mon-Cenis i Gotharda, czyż to nie dzieła, których cały Olimp nie byłby niegdyś potrafił dokonać? Do dzieł olbrzymich i nieśmiertelnych, które się w tej chwili przygotowują, należy projektowane osuszenie holenderskiego jeziora Zuidersee, które sześćset lat temu powstało wskutek gwałtownego wdarcia się morza w głąb lądu stałego. Dotąd przez osuszenie moczarów i miejsc płytszych, Hollandja odzyskała już 390.000 hektarów ziemi, teraz zaś postanowiła sztuczną a olbrzymią tamą połączyć rozerwane brzegi Fryzji i Hollandji północnej, poczem zostaną ustawione maszyny, które zaczną wodę wypompowywać Jezioro nie jest wcale głębokie, prawie nigdzie nie ma w niem wody więcej, niż na 3 metry, za to rozlewa się ono na przestrzeni 3139 kilometrów kwadratowych. Inżynierowie wierzą, że w ciągu kilku lat olbrzymie dzieło zostanie skończone Że do tego przyjdzie, o tem ani chwili nie wątpimy, czego bowiem nie dokaże lud pracowity i bogaty. A Hollandja, acz nie wielka, należy do najzamożniejszych państw europejskich, sama bowiem wyspa Jawa więcej jej rocznie przynosi, niż mogą kosztować wszystkie roboty około osuszenia tego jeziora.

Kończąc dzisiejszą pogadankę, prosimy szanownych czytelników, by bacząc na poczciwą tendencję naszego pisma, starali się usilnie o jednanie mu coraz liczniejszego grona przyjaciół, za czem pójdzie jego rozrost. Nie marzymy o majątku, którego w Galicji na literaturze jeszcze nikt nie zrobił; my chcemy tylko utrzymać organ niezawisły, oparty na wewnętrznej jego wartości, nie zaś na reklamie, któryby w ciężkich czasach, rozjaśniał smutne czoła swoich czytelników i zachęcał ich do zajmowania się sprawami krajowemi. Podajcie więc rękę szczególnie wy, Panie, tym usiłowaniom poczciwym, a z pewnością na nas się nie zawiedziecie.

*p.*

# PORADNIK DOMOWY.

## Ważna przestroga.

Przy zakupnie drzewek owocowych trzeba być bardzo ostrożnym, albowiem tego roku, osobliwie u nas w Galicji, wszystkie szlachetniejsze gruszki wymarzły, tak samo i bujno rosnące młode jabłonie, a pomimo, że drzewka ładnie wyglądają, one dla nas przepadły i żyć nie będą, a chyba tylko z dolnego pnia mogą nowe pędy wypuścić, jeżeli pień jest szlachetny. Kto utnie jednoroczną gałązkę gruszkową lub orzechową, przekona się, że takowa jest w środku czarna; gałązka jabłoni jest brudno-żółtawa, a gałązki jednoroczne powinny być w środku zielone Takich gałązek nie można używać do szczepienia, a tylko ten może szlachetne gatunki nadal utrzymać, kto ciął jednoroczne gałązki w listopadzie do 20 grudnia. Dziczki młode pod śniegiem nie wymarzły, więc można je śmiało powyższemi gałązkami uszlachetniać.

## Przechowywanie jaj na czas dłuższy.

Powyższe pytanie nasuwa się niejednokrotnie naszym gospodyniom i rzeczywiście posiada znaczną doniosłość. Chociaż bowiem naukowo zostało stwierdzonem, że jaje, szczególniej w pierwszych początkach gnicia, nie jest bardzo dla zdrowia szkodliwe, wydziela jednak tak przykrą woń, że użycie jego dla naszego podniebienia jest niemożliwe. Co prawda, chińczycy uważają jaje podgniłe za nadzwyczaj smaczną potrawę, ale czego nie jedzą chińczycy! Jaje, pozostawione na powietrzu przez czas dłuższy, traci wodę ze swej zawartości, na miejsce wody przeto do środka jaj wchodzi powietrze wraz ze znajdującemi się w niem bakterjami gnilnemi. To te bakterje wywołują stopniowe gnicie jaja. Z tego, cośmy powyżej powiedzieli, wynika, jak należy konserwować jaja. Są różne sposoby Jaje należy maczać w oliwie i nie obcierając, ułożyć ściśle w duży słój szklanny lub naczynie drewniane. Tego samego dopiąć możemy przez maczanie jaj w silnym roztworze soli kuchennej i następnie osuszenie ich na powietrzu. Sól kuchenna wejdzie w najmniejsze pory skorupy i zasklepi je zupełnie. Do tego celu używają również pokrywania jaj gipsem lub kredą, rozrobioną w wodzie. Najprostszy sposób przechowywania jaj polega na ułożeniu ich warstwami w skrzynce drewnianej i przesypaniu każdej warstwy trocinami drzewnemi Pod górną warstwą powinno się znajdować przynajmniej pół cala trocin. Zasadza się to na tem, że powietrze, przechodząc przez warstwy trocin, cedzi się i pozbywa bakteryj gnilnych i chociaż wchodzi do jaja, jest czyste i jako takie gnicia wywołać nie może.

## Rozwiązanie łamigłówki z Nru 8.

**P**allas — **O**błoki — **T**rzewie — **O**zon — **P**iknik — **H**ait**i** — **E**rynj**e** — **N**aro**w** — **R**enega**ci** — **c**ałun**y** (wspak) — **K**irgi**z**.

Potop — Henryk Sienkiewicz.

## Rozwiązanie akrostychonu z Nru 8.

**J**asny — **A**rlekin — **N**ieznośny — **K**omiczny — **A**patyczny — **M**iły — **I**mpertynent — **N**iestały — **S**wiatły — **K**rnąbrny — **I**mponujący.

Jan Kamiński.

**Rozwiązanie** łamigłówki przysłali: pan St. Faliszewski z Biecza i p. Jan Krzysztofowicz z Jarosławia

## *DO WSZYSTKICH.*

Ponieważ doświadczenie nas przekonało, że niesprawiedliwą jest zasada, aby pierwszy rozwiązujący nagrodę otrzymywał, gdyż wielu z prowincji dopiero w tydzień po wyjściu numeru, mogą rozwiązanie przysłać, przeto będziemy urządzali losowania. Ten premję dostanie na kogo los padnie

Premjum może otrzymać tylko stały abonent.

## *ODPOWIEDZI REDAKCJI.*

Wny profesor Moczyński w *Meppen*, Prowinz Hannower Po premjum, prosimy zgłosić się do administ. *Dziennika Poznańskiego.*

Wny *Z w Stanisławowie* Dziękujemy za dobre chęci. Posyłkę otrzymaliśmy.

# Nagroda królewska.

## Serja I-sza.

### Arytmogryf

*Wiktorji D.*

Kombinacje i znaczenie wyrazów.

**1)** 1, 19, 16, 6, 10, 14, 15, 13, 18 — Nabożeństwo. **2)** 17, 2, 9, 20, 11, 19, 16, 8, 19, 3, 10 — Malarz polski. **3)** 10, 17, 1, 10, 19, 23, 17, 13 — Kraj w Afryce. **4)** 4, 20, 21, 18, 3, 10, 17, 1, 19, 16 — Plemię słowiańskie. **5)** 15, 13, 10, 16, 3, 5, 15, 8, 6, 11, 19 — Pisarz Polski. **6)** 9, 15, 14, 27, 18, 8, — Ujście rzeki. **7)** 10, 22, 23, 11, 15, 8, 19, 3, 16 — Stacja kolei w Królestwie Polskiem **8)** 19, 9, 10, 19 — Imię męzkie. **9)** 16, 11, 13, 17, 1 — Sprzęt pokojowy. **10)** 2, 20, 11, 2, 20 — Wyspy na Oceanie Wielkim **11)** 20, 12, 24 — Twierdza w Niemczech. **12)** 3, 15, 1, 3, 12, 17, 28, 16 — Zebranie duchownych. **13)** 10, 17, 1 — Poeta polski XIX w **14)** 17, 12, 26, 13, 16, 9 — Imię męzkie. **15)** 14, 19, 10, 10, 17, 13, 15 — Zdobywca Peru. **16)** 11, 8, 19, 13, 18, 1, 17, 4 — Zamek królewski. **17)** 17, 13, 3, 5, 16, 15, 12, 15, 25 — Badacz starożytności. **18)** 25, 13, 17, 1, 17, 7, 18 — Drogie kamienie **19)** 9, 15, 6, 16, 7 — Roślina **20)** 13, 17, 11, 15, 3, 10, 18 — Wódz węgierski **21)** 16, 14, 17, 24, 19, 1, 15, 1, 9, 17, 6 — Wojownik starożytny.

Początkowe litery tych wyrazów, czytane z góry na dół, a końcowe z dołu do góry, tworzą dwa polskie przysłowia.

### Repertoar teatralny operowy.

*(Ułożył p. Skrzyński z Kołomyji)*

| | |
|---|---|
| Poniedziałek . . . . . | Norma |
| Wtorek . . . . . . | Anna Bolena |
| Środa . . . . . . | Belizarjusz |
| Czwartek . . . . . | Afrykanka |
| Piątek . . . . . . | Otello |
| Sobota . . . . . . | Sonnanbula |
| Niedziela . . . . . . | ? ? |

☛ Premjum za pierwszą serję: powieść **Al. Dumasa „Trzech Muszkieterów królowej"** w 6-ciu tomach.

## Serja II ga

### Łamigłówka i razem zagadka.

*(Ułożyła p. Seweryna Kovats ze Lwowa.)*

a, a, ar, ar, buz, cha, di, er, er, er, gier, gu, i in, ja, je, kir, ków, kra, kor, la, lwy, lid, ma, me, mio, mel, mar, muzd, na, na, na, na, na, ne, nie, ni, nest, or, ou, po, ro, rja, ru, ry, rząd, rze, sie, sło, ster, sty, sze, tur, u, u, wa, wicz, za, zo, zow.

Z powyższych zgłosek ułożyć następujące wyrazy:
1) Jedna z muz 2) Owoc rośliny dyniowatej 3) Zwierz drapieżny 4) Igrzyska. 5) Opera. 6) Miasto pamiątek. 7) Osoba z Balladyny. 8) Powieść Kraszewskiego 9) Historyk polski z 18 wieku. 10) Niezdolny do boju. 11) Imię żeńskie. 12) Poemat Syrokomli 13) Zajęcie lub instytucja 14) Powieściopisarz współczesny. 15) Kwiaty. 16) Utwór Krasińskiego 17) Imię męzkie 18) Ręczne zajęcie. 19) Założyciel systemu religijnego. 20) Miasto przy ujściu Donu. 21) Duch ciemności

Początkowe litery z góry na dół i ostatnie z dołu do góry, dają zagadkę, którą rozwiązać należy.

### Łamigłówka.

*(Ułożył p. Józef Orczyk z Rzeszowa)*

a — o — al — an — ar — aw aw — aż — bo — bł — ch do — ej — ck — el — el — fa — fi — fo — ga — gł — go — ii — ic — ic — in — je — ką ke — ke — ki — km — ko — lt — lw — ma — mo — na — ni — od — op — or — og — ów — pi — pi — po — ra — sk — sl — sł — sn — st — sz — sy — ts — uj — un — un — wo — dra — ggi — kon — laj — łek — sza — rund — ście

W każde pole szachownicy o 12×12 polach, (pól ma być 12 w kwadrat) wpisać po jednej literze, co uczyni w każdym szeregu poziomym po dwa słowa sześciogłoskowe: 1a. Podczaszy królewski. b. Publicysta warszawski. 2a Generał artylerji b Osoba znana z powieści H. Sienkiewicza. 3a. 2mię Litwinki b Bóg leśny. 4a. Zjawisko meteorologiczne. b. Godło skromności 5a. Sławny malarz. b Imię męzkie. 6a. Poeta węgierski. b. Nazwisko rzeźbiarza. 7a. Kaznodzieja. b Kompozytor 8a. Minerał b. Miasto na Szląsku 9a. Miasteczko nad Notecią. b Kompozytor. 10a Kraik półwyspu bałkańskiego. b Imię chłopaka. 11a. Przedhistoryczny władca Polan. b. Miasto włoskie. 12a. Znienawidzony prawodawca. b Strategik.

Przekątnie w ten sposób utworzonego kwadratu, zawierają w formie przysłowia pochwałę dla tego, kto łamigłówkę rozwiąże.

☛ Premjum za drugą serję: powieść historyczna **Bronikowskiego** w 2-ch tomach, pt. **„Olgierd i Olga".**

## Serja III cia

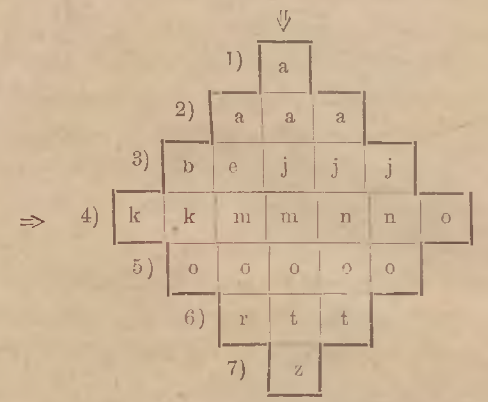
### Zagadka.

*(Ułożył p. Stanisław Bukowski)*

Choć kłamać nie mam zwyczaju,
Uwierzyć mi nie zechcecie,
W każdym znajduję się kraju,
Nigdy nie postałam w świecie.
Przykładem wielu junaków,
Jestem w wojsku, nigdy w bitwie,
Choć mnie ma Połock i Kraków,
Nie ma mnie w Polsce i Litwie.
Choć się w pochlebstwa nie wdaję,
Jednakżem pierwsza u króla,
Bezemnie szczęśliwe kraje;
Mnie winna początek kula.
Jestem w kartach, w grze mnie nie ma,
W każdy mięszam się majątek,
Nieznа mnie lato i zima
Zaczynam koniec, kończę początek.
Nie znajdziesz mnie w polowaniu,
Choć mnie w każdem kątku nie brak,
Przodkuję ludziom w kochaniu,
Nakoniec dostał mnie żebrak.

### Zadanie djamentowe.

*(Ułożył p. Godel ze Lwowa.)*




1. Spółgłoska.
2. Imię męzkie.
3. Miejscowość w Galicji.
4. Sławny malarz polski.
5. Miejscowość na Bukowinie.
6. Część ciała.
7. Samogłoska.

☛ Premjum za trzecią serję **„Nowelle" Hajoty.**

## Serja IV-ta.

### Arytmogram odkryty.

Jak się zwali dawniej ludzie — Pewnych zasad, wierzeń znanych. — Weseli w znojach i w trudzie — Z słów poniżej wypisanych. — Powiedz co zacz? — Mów też szczerze — Czy wiesz co to La paz — Lena? — Skąd Nil początek swój bierze — Czy ładne imię Olena? — Gdzie jest Czizapik, Laponia? — Cayenne, Opoczno, Nizza, — Palencya, Leon, Kolonia — Piacenca, Neapol, Pizza, — Polinezja, Kap, Alepo? — Oceania, Lyon, Lipa? — Gdzie płynie Pilica, gdzie Po? — Co za góra Pozylipa? — Bo co Kacyk lak, Opole? — Yonne, naczynie, oaza, — Lipiec, panna, panicz, pole, — Czapla, czepek, Eol, Aza, — Piazzi, pani, Yanke, Eli, — Polacy Alpy, Cyklopy, — Apeniny, piec, anieli, — Polki, Zola, Ilko, popy, — Lapończyk, Leonia, Kazia, — Lin, Kook, Kolce, Zakopane, — Anna, okno, Kizia, Pazia, — To zapewne wszystkim znane

### Zadanie djamentowe.

*(Ułożyła p. Marja Bernacka z Krakowa)*



1 Spółgłoska. 2. Zwierzę domowe. 3. Osoba z powieści „Ogniem i Mieczem". 4. Dramat W. Sardou. 5. Zakład naukowy 6. Bohater z wojny Trojańskiej 7. . . . . . . . . . . . . . . . ? 8. Gałąź nauk przyrodniczych. 9. Powieściopisarz polski 10. Imię męzkie. 11. Środek komunikacyjny 12. Narząd zmysłowy. 13. Samogłoska.

☛ Premjum za czwartą serję: powieść **Z. Grudzińskiego „Wbrew Opinji"** w 2 ch tomach.

☛ Kto wszystkie 4 serje rozwiąże, otrzyma powieść **Henryka Sienkiewicza w 6-ciu tomach „POTOP".**

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz. Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.